

Wiarius

organ korpusu podoficerów zawodowych
wojska lądowego marynarki wojennej i korpusu ochrony pogranicza

ROK V

WARSZAWA, 9 GRUDNIA 1934 ROKU

NR 49



29.XI WARTĘ W BELWEDERZE OBJĄŁ PLUTON SZKOŁY PODCHORAŻYCH PIECHOTY W MUNDURACH Z ROKU 1830

Fotografował Witold Pikiel

BUDUJEMY KOLEJE

Kiedy w sierpniu 1914 roku garstka ułanów Beliny — godnych spadkobierców tych z pod Tudeli i Stoczka — obalała niedaleko Batowice słupy graniczne, wielu ludzi uważało to za czyn szaleńczy. Jakże było marzyć o zwycięstwie, o wolności, o odbudowaniu Polski niepodległej, skoro trzy najsilniejsze państwa świata ziemię polską w kajdanach trzymały.

Życie jednak przyznało słusność nie ludziom małej wiary, ale tym, którzy szczerą miłością ojczyzny natchnieni, z bronią w ręku, jeden przeciwko tysiącom powędrowali walczyć o wolność „Tej, co nie zginęła”. Zwyciężyli — wbrew ludzkim przewidywaniom, a za sprawą Komendanta, który ich do zwycięstwa powiodł. I dziś Belina jest wojewodą tej samej ziemi krakowskiej, którą wówczas na czele kilku jeźdźców opuszczał, w miejscu zaś, gdzie ciągnęły się ugory i bezdroża, biegnie teraz stalowe pasmo nowych szyn.

Tę to właśnie kolej otwarto 24 listopada w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Otwarto po uroczystej mszy w krakowskim kościele Marjańskim, starożytnej świątyni, w roku 1226 zbudowanej, czasy dawnej świetności polskiej dobrze pamiętającej, a dziś, po półtorawiekowej przerwie, znów świetności tej będącej świadkiem.

Przeciął Pan Prezydent wstęgę, pochyliły się głowy, zabrzmiał hymn narodowy, zawarczały silniki samolotów. Dwa wielkie polskie parowozy poderwały długi wąż aż dziewiętnaście wagonów liczącego pociągu i pociągnęły hen ku dalekiej, ale dziś właśnie o 43 kilometry bliższej Warszawie.

Wiadomo z gazet, z jakim wzruszeniem, z jaką wdzięcznością witano Pana Prezydenta i władze wzdłuż nowej linii. Grzmiały działa, grały orkiestry, błyszczały w słońcu szable, bagnety i kosy, huczały wiwaty

i okrzyki. Gdzie nie było orkiestr, tam ludność sama hymn narodowy śpiewała. Pierwszy Gospodarz Polski zasiadł do stołu razem z robotnikami i technikami, którzy kolej budowali. Ale — co nie wszystkim wiadome — to znaczenie tej nowej kolei.

Otóż po odzyskaniu niepodległości mieliśmy z kolejami kłopot nielada. Układ linii kolejowych był bowiem przystosowany nie do potrzeb kraju,



Stacja kolejowa w Miechowie

Fotografował J. G.

ale do wymagań rządów zaborczych. Linje po większej części o znaczeniu strategicznym, jeśli o Niemcy lub Austrię chodziło, urywały się nad granicą, albo biegły wzdłuż niej. Co się zaś dotyczy zaboru rosyjskiego, to stanowił on białą plamę na mapie dróg żelaznych Europy. Te same względy strategiczne, niewłaściwie stosowane, skłoniły Rosję do ograniczenia swej sieci kolejowej na zachodniej granicy dosłownie do kilku linii.

Zresztą skutki takiej zgubnej polityki z nastaniem wojny nie dały na siebie długo czekać. Niemcy i Austriacy posuwali się w głąb ziem dawnej Kongresówki dość swobodnie, budując koleje i kolejki polowe, przerabiając z szerokich*) na normalne nieliczne linje rosyjskie. Natomiast Rosjanie pozabawieni nawet we własnym kraju komunikacji kolejowej, cóż dopiero mieli zrobić w obcym? Z normalnych, na szerokie nie można było kolej przebudowywać, a zresztą jak do nich dojechać i skąd wziąć odpowiedni tabor. Nic dziwnego, że Rosja wojnę przegrała.

Kolejnictwo nasze, a z niem całą Polska znalazła się więc w zaraniu niepodległości w bardzo trudnym położeniu. Trzeba było tę zupełnie chaotyczną i nieprzystosowaną do potrzeb kraju sieć kolejową doprowadzić do jakiegoś takiego porządku. I mimo trudności, mimo różnych przeszkód moralnych czy materialnych, dzieło to prowadzono z uporem i wytrwałością. I prowadzi się je w dalszym ciągu, boć sporo zrobiono, ale drugie tyle do zrobienia pozostaje.

Jednym z ogniw łańcucha prac nad rozbudową sieci kolei żelaznych w Polsce jest właśnie kolej Warszawa — Radom — Kraków. Dawna linja biegła ze stolicy torem przedwojennej kolei wiedeńskiej do stacji Maczki (dawniej Grznica), stąd zaś przez Szczakowę łączyła się z kolejami austriackimi i Krakowem. Długość jej wynosiła 364 kilometry, trasa dogodna dla Zagłębia Dąbrowskiego, niedogodna była dla Małopolski. Nadto zaś linję przeciężono transportami węglowymi.

Wychodząc z założenia, że Kraków należy połączyć z Warszawą bezpo-

*) Koleje rosyjskie miały prześwit toru nieco szerszy od normalnego europejskiego.

J. Ostrowski

2)

„PUSTY” STRACH

— A widzi pan sierżant, że nie; to nie tłum, tylko oddział! — triumfował Kozłowski.

Towarzystwo pośmiało się umiarkowanie, a Hirt odezwał się:

— Zależy jednak od narodowości. Z tego, com widział, mogę powiedzieć, że Polak, Anglik i może Francuz potrafią być odważni nawet w pojedynkę, a Niemiec i Rosjanin tylko w kupie mają ducha.

— Od czegoż to zależy? — zagadnął Janicki.

— Od honoru! Od ambitu! — odezwał się Bosak. — W tych narodach, gdzie honor każdego pojedynczego człowieka jest szanowany — tam jest i odwaga pojedyncza; a tam, gdzie osobnego człowieka za nic mają, a tylko kupę szanują i uznają — tam pojedynczej odwagi niema, tylko masowa.

— Racja! — odezwał się Komar. — A jak się taka kupa zacznie rozklejać, tam już ani honoru gromady niema, ani honoru każdego człowieka osobno.

— To wszystko jest racja, co mówicie o strachu — wracał do swego Matjas. — Ale wy mi powiedzcie, jak można się bać i nie wiedzieć, czego człowiek się boi?

— No, cóż? To bywa — odezwał się Hirt. — Pamiętam taki wypadek jeszcze w rosyjskiej armii. Sta-

liśmy na pozycji, gdzie Niemcy parę razy puścili gazy. Taką korzystną pozycję tam mieli. Otóż wydano nam tam zaraz po przybyciu maski przeciwgazowe, kanciaste, dość długie, zatykane korkiem...

— Zielińskiego — wtrącił Komar. — Znałem te maski.

— Tak, Zielińskiego. Operacja z tą maską była dość mozolna: Trzeba było otworzyć pokrywkę, wyjąć gumowy „kaganiec“, odetkać korek, przedmuchać filtr i dopiero wkładać. Młodzi żołnierze niebardzo sobie dawali z tem radę: często — nie odetkawszy korka — przedmuchiwali filtr i pył węglowy czernił im całą gębę. To też ciągle urządzano ćwiczenia i na wolnym powietrzu i w komorach gazowych. I zdarzył się taki wypadek: w śliczny dzień letni, w rezerwie, o jakie cztery kilometry za frontem, przejeżdżał koło takiego schronu taboryta na wozie. Poczł zapach gazu, który trochę wydostał się z nieszczelnej komory; krzyknawszy przeziębienie: „gaz!“, zaczął wkładać czem prędzej maskę i poganiać konie. Ale zapomniał odetkać korek wogóle i zaczął się dusić. Myślał, że to już działanie gazu i bał się zdjąć maski, to też po paru chwilach zleciał z wozu, a gdyśmy podbiegli do niego,

średnio, pozostawiając dawnej kolei wiedeńskiej znaczenie łącznika między stolicą a Zagłębiem Dąbrowskiem i Śląskiem, władze kolejowe przystąpiły w roku ubiegłym do budowy nowej magistrali. W ten sposób powstały odcinki Warszawa—Warka—Radom (103 kilometry) oraz Tunel—Miechów—Kraków (52 kilometry). Między Radomem a Tunelem pozostała dawna linja Dęblin—Dąbrowska (166 kilometrów), którą w ten sposób włączono do wielkiej magistrali Warszawa—Kraków, ogólnej długości 321 kilometrów, czyli o 43 kilometry krótszej niż dawna.

Znaczenie nowej linii jest olbrzymie. Po pierwsze cała połać kraju, bezpośrednio do stolicy przylegająca, pozbawiona była zupełnie komunikacji kolejowej, a zatem jakby odcięta od świata, Przemysł, rolnictwo, ruch turystyczny czy letniskowy — wszystko to wegetowało. Na lewym brzegu Wisły, tuż niemal u wrót stolicy, ciągnął się kraj podobny do pampasów Południowej Ameryki. Nie było kolei, a więc życie gospodarcze, kulturalne i społeczne zamierało, dobrobyt nie miał dostępu. Nie było kolei, więc stały pustkami piękne zbocza Pilicy i lasy po obu jej brzegach rosnące.

Ruch autobusowy nie mógł oczywiście kolei zastąpić, bo samochód nie jest zdalny do tanich, masowych transportów, a przeto wymaga dużej sieci dobrych dróg. To też dopiero budowa kolei dała tym okolicom okno na świat, a jednocześnie obdarzyła Warszawę szeregiem nowych lotnisk o niezwykle dodatnich warunkach zdrowotnych.

Nowa kolej odłącza się od torów linii Warszawa — Skierniewice na Czystem, mija lotnisko na Okęciu, przechodzi przez Piaseczno, Zalesie, Chynów, Warkę, Dobieszyn, Bartodzieje do Radomia,

gdzie zlewa się z linją Dęblin—Dąbrowa. Już sam skrót Warszawa — Radom wynosi 57 kilometrów w stosunku do dawnej drogi na Dęblin. O tyleż zbliżyły się do stolicy wszystkie miejscowości województwa kieleckiego, a więc między innymi Kielce, Skarżysko, Ostrowiec, Jędrzejów, Sandomierz, Busk, Solec, Miechów, Olkusz i t. d.

Drugi odcinek nowej linii oddziela się od linii Dęblin — Dąbrowa nie w Miechowie, ale tuż za długim na 650 metrów tunelem, obok stacyjki tejże nazwy. Tu skręca w lewo i po 10 kilometrach dobiega do miasta Miechowa, gdzie na zboczu wysokiego wzgórza zbudowano niewielki, ale bardzo miły



MAPKA NOWEJ LINII KOLEJOWEJ WARSZAWA-KRAKÓW

— istniejące odcinki nowej linii
 — nowo budowane " " "
 — dotychczasowe połączenie Warszawa-Kraków

dla oka dworzec. Miechów, który dawniej miał do kolei szmat drogi, obecnie ma stację, jak to się mówi, pod nosem.

Z Miechowa bądź głębokimi wykopami, bądź po wysokich i krętych natypach biegnie nowa kolej przez malownicze Słomniki, Łuczyce i Batowice do Krakowa. I tu znaczenie gospodarcze dla miejscowych wsi i miasteczek jest

olbrzymie — na przestrzeni kilkuset kilometrów kwadratowych brak tu bowiem było kolei. Podróż z Krakowa do Kielce wymagała dalekiego objazdu przez Strzemieszycę, na odległości 216 kilometrów, podczas gdy odległość ta obecnie wynosić będzie tylko 134 kilometry.

I to jeszcze nie wszystko. Dzięki nowej magistrali będzie można wykorzystać szereg linii dotychczas drugorzędnych, bo zbyt na uboczu położonych, dziś zaś nabierających wielkiego znaczenia komunikacyjnego i gospodarczego. W pierwszym rzędzie należąc do nich będzie kolej Skarżysko—Ostrowiec — Sandomierz — Rozwadow, pozwalająca skrócić o kilkanaście kilometrów odległość Warszawa — Lwów i odciałyć częściowo linję Warszawa — Dęblin — Lublin. Ożywią się także linie Koluszki—Skarżysko i Kielce — Częstochowa, jak również cała sieć kolejek wąskotorowych. Dostęp do Gór Świętokrzyskich będzie dla mieszkańców Warszawy i Krakowa znacznie ułatwiony, a Kielce staną się nowym ośrodkiem życia gospodarczego Polski.

Wszystkiego tego dokonano własnymi siłami, bez uciekania się do pomocy z zewnątrz w jakimkolwiek zakresie. Przecież w ciągu października i listopada otwarto w Polsce pięć nowych linii kolejowych: Porzecze — Drużkiew 18 kilometrów, Zembrzydów — Cieszyń 16 kilometrów, Sierpe — Płock 36 kilometrów, Kraków—Tunel 52 kilometry i Warszawa—Radom 103 kilometry. Razem 225 kilometrów stalowego szlaku kosztem około 50 milionów złotych.

Znika więc Polska drewniana, a buduje się stalowa — możemy powiedzieć z dumą. I w myśl wskazań Pierwszego Jej Marszałka prowadzić wyścig pracy dalej.

Inżynier J. G.

nie rozumiejąc, co się stało—okazało się, że już nie żył... Ot, macie przykład: poprostu śmierć, bez żadnej przyczyny, na tyłach, w piękny, słoneczny dzień. Poprostu „śmierć w jasnym słońcu“

— No, tak! — mruknął Matjas. — Śmierć była bez potrzeby i powodu, ale strach miał przyczynę: on wiedział czego się boi...

— No, to ja wam opowiem pewien wypadek — odezwał się Komar. — Było to w wojsku rosyjskim. Staliśmy pod miasteczkiem Krew, w obecnej Wileńszczyźnie. A właściwie w miejscu, gdzie miasteczko kiedyś było, bo myśmy już zastali tylko łączkę, rzeczkę i pagórki. Aha, i ruiny dawnego zamku, którym kiedyś Jagiełło władał. Bodajże tam pierwsza unja była uchwalona. Tam zastała nas rewolucja rosyjska. Początek jej był nawet sympatyczny dla nas, Polaków, i oficer-Polak z naszej „roty“, Dobosz, klarował nawet „czubarykom“ co znaczą różne mądre słowa: kontrybucja, aneksja, konstytucja i samostanowienie. Ale potem zaczęło się dziać coraz gorzej: rezerwy, które nam dosyłało z tyłów, buntowały i podjudzały cały pułk i wiadomo było do czego dojdzie. Oficerów nikt już nie słuchał, służby nikt nie chciał pełnić, a każdy tylko myślał, jak zwać, żeby zdążyć na grabienie w swojej wsi. I co ciekawe, że ludzie, którzy do tej pory byli wcale odważni, mieli nawet krzyże świętego Jerzego, zaczęli nagle wszystkiego się bać.

Nieraz jeden granat, który upadł o pół kilometra, rozpadzał cały „miting“, których wtedy było do „wielkiej Anielki“.

Na Polaków też zaczęli krzywo patrzeć, że to „kontrewolucjonery“ i „pany“. Było nas w kompanii trzech, więc trzymaliśmy się razem i staraliśmy się być blisko chorążego Dobosza, żeby czego chłopakowi nie zrobili.

W takiej sytuacji przyszła ostatnia ofensywa, „wygadana“ i wyproszona prawie przez Kiereńskiego. Żołnierze niby go słuchali, póki gadał, a potem znowu wracali do swego, że bić się nie będą. A jeśli Niemiec chce zabierać im ziemię, to niech zabiera, bo wolą zachować życie, choćby przyszło płacić największe kontrybucje. Kiedy zaś przyszedł oznaczony dzień i rozpoczęło się artyleryjskie przygotowanie, cała masa piechoty zbuntowała się na dobre i zwała. My, Polacy, zostaliśmy z garstką, która nie zwała. Dlaczego? Czy ja wiem? Nie mieliśmy coprawda w tem żadnego interesu, żeby bronić „matuszki-Rosji“, skoro zwili jej własni synowie. Z drugiej strony bliżsi nam byli Słowianie, którzy teraz przyznawali nam wolność, niż Niemcy, którzy — jak to słyszeliśmy — ściskali coraz bardziej wolność w Polsce i rozwiązywali Legjony. Ale przede wszystkim — było nam wstyd uciekać z całą tą hałastą, która rzucała karabiny i wiała naoslep wtył.

HONOR JAPONSKIEGO ŻOŁNIERZA

Wiadomo, że w Japonii wielką rolę odgrywa armia, a zwłaszcza jej korpus oficerski. Chcąc zrozumieć dobrze politykę Japonii wraz ze wszystkimi jej zagadkami i tajemnicami, trzeba poznać umysłowość japońskiego oficera; zadaniu temu poświęciła się znana dziennikarka francuska, pani Andrée Viollis, autorka wielu znakomitych reportaży zagranicznych, która odbyła niedawno podróż do Japonii.

Znane są wypadki „samobójstw honorowych” w Japonii. Marszałek Nogi, zwycięzca z pod Portu Artura i Mukdena, popełnił harakiri na grobie zmarłego mikada, aby go nie przeżyć, a żona marszałka odebrała sobie życie sztyletem i legła obok swego męża... Historia Japonii — nawet najświeższa — zna jeszcze dużo podobnych wypadków. Po każdej konferencji międzynarodowej, po każdym traktacie, krzywdzącym — rzeczywiście lub rzekomo — prawa Japonii, wybuchała istna epidemia samobójstw wśród oficerów.

Najciekawszy jest przypadek

samobójstwa majora Kuga. Oficer ten, ciężko zraniony podczas niedawnych walk pod Szanghajem, wpadł w ręce Chińczyków, którzy umieścili go w szpitalu. Po powrocie do zdrowia i zawarciu pokoju major Kuga udał się niezwłocznie na pole bitwy, na którym został ranny i wzięty do niewoli i — zastrzelony... Tego wymaga honor oficera japońskiego...

Autorka opowiada, że gdy czytając tę wiadomość, oburzała się głośno na bezcelowość i okropność tego czynu, jeden z jej znajomych Japończyków, człowiek wysoce inteligentny i uważający się za socjalistę, przerwał jej sucho:

— Oficer japoński nie powinien nigdy dostać się do niewoli, nawet kiedy jest nieprzytomny...

A nazajutrz generał Araki, minister wojny, oświadczył reporterom:

— Major Kuga spełnił tylko swój obowiązek; uratował on godność i honor armii japońskiej i objawił swoją duszę...

W tym samym czasie dwa teatry i kilka kinematografów wystawiło sztukę i obrazy, sławiące niezwykle poświęcenie „trzech bohaterów Szanghaju”. Byli to trzech żołnierze, którzy podczas ciężkich walk około tego miasta rzucili zupełnie zbliśniętą bombę w stanowiska Chińczyków i zginęli wraz z nimi, aby mieć pewność, że nie spudłowali... Sławiono ich potem jako bohaterów narodowych; rodziny ich okryte zostały chwałą, zaszczytami i pieniędzmi.

Pani Viollis stawia pytanie, czy ci trzech „żołnierze Szanghaju” nie są czasem zwiastunami tych „żywych torped”, dla których dowództwo marynarki japońskiej szukało niedawno ochotników? Są to torpedy, z których każda zawierać będzie w swoim łonie człowieka, kierującego jej biegiem i ginącego w tej samej chwili, gdy torpeda uderza w okręt nieprzyjacielski. Sztab generalny marynarki zażądał stu ochotników, a stawiło się kilka tysięcy.

A. R.

Naszych „gierojów” jednak kozacy spędzili zpowrotem do okopów i mieliśmy iść do ataku razem. Nastrój panował ponury: oficerowie nie dowierzali żołnierzom, a żołnierze oficerom. I choć artyleria wybiła w drutach kolezastych całe ulice, a obsada niemieckich okopów była bardzo słaba, strach panował w wojsku rosyjskiem okropny.

Wreszcie napchali tego tałatajstwa w okopy cociemniara, a na dziesięciu napewno była jedna czerwona chorągiew wśród nich. O piątej rano rozległy się gwizdki i wszyscy rzucili się do ataku. Że poszli — nie było nic dziwnego. Niemcy dość serdecznie prali artylerię, a lepiej już iść do ataku, niż leżeć i czekać, czy trafi, czy ominie.

Do okopów niemieckich było około 800 metrów, ale dobiegliśmy bez większych strat i prawie bez oporu zajęliśmy pierwszą, a potem drugą linię. W pewnej chwili przystanęłam na grzbiecie góry i rozejrzałam się: widok był wspaniały! Mgły się już rozeszły i widać było na przestrzeni jakich trzech kilometrów gęstą linię rosyjskich żołnierzy, zajmujących niemieckie pozycje. Wyglądali, jak ołowiane żołnierzyki, których nagle ożywiła wróżka.

— No, jednak ich ruszyło! — krzyknęłam do chorążego Dobosza.

Roześmiał się:

— Bo i Niemców też prawie nie widać!..

Naraz krzyknął:

— Patrzcie-no! Co jest?

Spojrzałam i ja. Działo się coś niezrozumiałego. Cała linia rosyjska, w jednej chwili, jak na dany sygnał, zawróciła w miejscu, zrobiła wtył zwrot i zaczęła błyskawicznie wiać.

Obejrzelismy się w prawo i w lewo, czy niema jakiego kontrataku: nie, nie było!.. Co u diabła?

Moskale zbijali się w kupy w przejściach przez druty, choć przejść tych było tyle, że gdyby nie ogłupieli, przeszliby spokojnie wszyscy. A tymczasem Niemcy oprzytomnieli i niedobitki ich słabej obsady, zasiadłszy sobie spokojnie przy karabinach maszynowych, prali w te kupy, jak w jasny bęben. Koło nas też zrobiło się gorąco: zostaliśmy prawie sami, a ogień rósł. Musieliśmy i my się wycofywać z tego interesu. I jak w ataku żaden z naszej czwórki nawet draśnięcia nie dostał, tak teraz każdy otrzymał jakąś pamiątkę. A mnie i chorążego dogonił „garnek” z gazem: zanim opatrzyliśmy się i spróbowaliśmy uciec, już lykneliśmy trochę chloru i zaczęliśmy „jeździć nad Bałtyk”, choć niebardzo było czem, bo od trzech dni nic prawie nie jedliśmy.

Potem, w szpitalu, umyślnie gadałem z żołnierzami z naszego korpusu czego tak wielu. Żaden nie umiał nic innego powiedzieć, jak tylko to, że „wszyscy uciekali”... I to mnie najwięcej zdumiewało, że to tak w jednej chwili, jak na komendę się stało na takim dużym froncie... Oto macie, Matjas, przykład strachu bez przyczyny, „pustego” strachu.

— Cóż? — odezwał się Bosak. — Jak żołnierz nie może liczyć na kompanów, jak nie rozumie, za co powinien się bić; jak armia się rozpada, a on swego własnego honoru i wstydu nie ma, to byle co wystarczy, żeby go strach wziął w garść i popędził, gdzie pieprz rośnie.

Towarzystwo zamyśliło się i pociągnęło piwa, a sierżant Matjas westchnął i mruknął:

— Może to była i niestrawność...

(koniec)

INSTRUKTOR

O OBIEKTYWNOŚĆ W PRACY

W numerze 45-tym „Wiarusa”, w dziele „Instruktor”, autor artykułu „Doniosłość pracy instruktorskiej” napisał następujące zdanie:

„Każdy, kto zetknął się z żołnierzem, musi stwierdzić na jego niekorzyść, że jest przeważnie niechlujem, niedbałym o siebie i swój mundur, nie szanującym ani swego ekwipunku, ani broni”.

Jest to zdanie, które naszego żołnierza-rekruta (bo przypuszczam, że o niego tu chodzi) stawia bardzo, ale to bardzo nisko pod względem jego wartości osobistej.

Wartoby więc zastanowić się nad tem, czy wygłaszanie poglądów osobistych w tak kategorycznej formie jest wskazane, tem bardziej, że wątpliwe jest, by „każdy, kto się zetknął z żołnierzem, musiał stwierdzić” to samo.

Osobiście miałem styczność z żołnierzem-rekrutem przez osiem lat jako sierżant szef kompanii, podoficer mundurowy pułku i instruktor. Na podstawie zdobytego doświadczenia twierdzą stanowczo, że większość rekrutów napewno nie jest niechlujna i niedbała o siebie i swój mundur.

Znajdą się przy tej większości w drobnym ułamku tacy, którym nazwy, użyte przez autora, rzeczywiście przysługują.

Chcąc uniknąć zarzutu, że miałem może wyjątkowy element rekrucki pod ręką, stwierdzam, że na rekrutów, z którymi miałem do czynienia, składał się element różnej narodowości, o różnorodnej mieszaninie typów i charakterów.

DLaczego więc istnieją takie poglądy na wartości osobiste naszego żołnierza-rekruta? Jest to mojem zdaniem niezgłębienie sprawy. Faktycznym powodem niedbalstwa żołnierza (i to nie tylko rekruta, ale wogóle) o swój mundur, jak i nieposzanowanie rzeczy skarbowych jest w znacznym stopniu wartość i wygląd tych rzeczy. Jak to doniedawna jeszcze wyglądało umundurowanie i oporządzenie, wręczane rekrutowi? A faktyczna wartość tych przedmiotów pod względem wytrzymałości i trwałości? Przecież wszyscy dobrze pamiętamy tę pstrokaczną barwę, łat i t. p., w którą z konieczności zaopatrywano żołnierza, a przede wszystkim rekruta. Czy żołnierz, któremu spodnie w jednym dniu trzykrotnie popękały, miał nabrać wielkiej ochoty do dbałości o nie?

A raporty karne za przerobienie kołnierza przy mundurze, za przyszycie świecących guzików, za noszenie pasa głównego z podwójną spinką, za zwężenie spodni, by owijacz gładko leżał, za wzywianie fałdy przy płaszczu i t. d? Czyż one niczego nie dowodzą? Przecież to najjaskrawszy dowód, że żołnierz u-

siłuje poprawić swój wygląd zewnętrzny. Chyba to jest zaprzeczeniem owego niechlujstwa i niedbałości.

Ile razy wydawałem lub byłem obecny przy wydawaniu żołnierzom umundurowania i ekwipunku, tyle razy widziałem radość wśród tych żołnierzy, którym szczęśliwym trafem przypadł w udziale lepszy mundur czy tornister. A ileż to razy, niespostrzeżony, przyglądałem się, jak taki Poleszuk z Pińska czy Rusin z zapadłego kąta Małopolski wdzielali nowy mundur ze 20 razy na siebie w przeciągu jednej półgodziny, nie mogąc się dosyć napatrzeć sobie. Ileż to razy widziałem, jak żołnierz na strzelnicy przyciskał do piersi karabin w radosnem uniesieniu za wystrzeloną 12-kę czy 10-kę. I dlatego w imię tych wielkich dogmatów wychowania, jakimi są obiektywizm i sprawiedliwość, śmiem prosić Szanownych Autorów z działu „Instruktor” o to wielkie „Suum cuique”! Autor omawianego artykułu sam przyznaje, że stałe „hajże na Soplicę!” nie jest wskazane. W tym wypadku niemniej, jak w innym!

Fr. Święcichowski, starszy sierżant

MOJA — TWOJA, NASZA — WASZA...

Nie od rzeczy będzie, gdy przytoczę słów kilkoro na temat tego, co najczęściej przeciętny obywatel gada. Gdybym zastosował do tego przysłowie: „co w sercu—to i na języku”, musiałbym stwierdzić, że w owem sercu coś bardzo paskudnie! I w tym momencie muszę uznać wspólnotę narodów słowiańskich. Rosjanin na przykład (aby nie przesadzić!) co piąte słowo „grzecznej konwersacji” przeplecie soczystem twierdzeniem: „... twoją mać!” Polak zaś (mam na myśli tego „przeciętnego”) również nie chce pozostać wtyle i co siódme przynajmniej słowo (dał się prześcignąć), określi ci dokładnie zawód rodzicielki, w nie pozostawiających wątpliwości słowach: „... twoja mać!”



Jak widzimy, zachodzi tu między temi „narodowemi” grzecznościami tylko gra słów. Intencje obu rozmówców są jednakowe.

Nie będę dłużej rozwodził się nad wspólną cechą narodów słowiańskich, gdyż bliższa jest własna, polska „koszula”, niżli rosyjska „rubacha” i należałoby ją wyprać. Nie przyjdzie to łatwo, gdyż brud ten jest już dobrze zaparzony, niemniej jednak należałoby się wziąć za pracę, z wiarą w jej dodatnie wyniki.

Jak dotychczas, przechodzimy nad tą sprawą do „porządku dziennego” i powiedzenie to tak się już przyswoiło, takie jest nasze, polskie, nieomal rodzinne, że już przestało nas razić. Używane jest przy każdej nadarzającej się sposobności, w formie rubasznej, tak sobie—po przyjacielsku, czasem w formie podziwu, a najczęściej w gniewie. Różnorodność znaczenia tego powiedzenia jest tak rozległa, że gdyby znalazł się tak „genjalny” człowiek i wynalazł ze dwadzieścia jeszcze podobnych zdań, śmiało można by się pozbyć reszty słownictwa—do wspólnego porozumienia toby nam wystarczyło. Dla laika jednak znaczenie tych słów będzie jednakowe. Zrozumie on, że i twoja, i moja, i nasza, i wasza—a zatem wszystkie matki w Polsce wydały nas na świat z nieprawego łoża. Czy to aby „cokolwiek” nie za wiele?

Chociaż to soczyste określenie stosowane jest do rodzicielki cudzej (kiep ten ptak, co własne gniazdo kala), to jednak, gdy przyjmujemy odwrotną stronę medalu, to i o nas trochę zahaczy. Kala ono to, co człowiek ma najdroższego — matkę rodzicielkę, a często świetlaną pamięć o niej.

W wojsku, między szeregowcami, powiedzenie to szczególnie się rozpleniło — jak nieposiany oset. Szeregowiec, pozbywszy się otoczenia matek, sióstr, lub starszych znajomych, których się krępował, nie mając poczucia etyki, uważa, że jest ona oznaką jego samodzielnności i dojrzałości. Powinniśmy go z błędu wyprowadzić. Gdy upomnienia nie pomogą, zastosowanie surowej kary da mu możliwość głębszego zastanowienia się nad tem zagadnieniem, a wojsko będzie miało jeszcze jedno wdzięczne pole do wychowania obywatelskiego żołnierza.

Starszy ogniomistrz C. Cel.

KURSY ADMINISTRACYJNO - SAMORZĄDOWE DLA PODOFICERÓW ZAWODOWYCH

Dla zebrania odpowiednich doświadczeń w zakresie organizacji, programu, metody i administracji podoficerskich kursów przygotowawczych do zawodów cywilnych, Wojskowy Instytut Naukowo - Oświatowy zorganizował przy współpracy Instytutu Oświaty Pracowniczej i poparciu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wzorowy kurs administracji samorządowej dla podoficerów garnizonu warszawskiego. Celem kursu jest przygotowanie pewnej ilości podoficerów na kandydatów do objęcia stanowisk w gminach w charakterze sekretarzy lub pisarzy gminnych.

Kurs trwa 10 miesięcy i obejmuje 300 godzin zajęć. Nauka odbywa się co drugi dzień od godziny 19-ej do 21-ej.

Ogólne kierownictwo kursu spoczywa w rękach Wojskowego Instytutu Naukowo - Oświatowego; fachowe—wydziału samorządowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych; administrację prowadzi Instytut Oświaty Pracowniczej.

Kursiści zdają egzamin przed komisją egzaminacyjną przy odnośnym Urzędzie Wojewódzkim. Do egzaminu mogą być dopuszczeni kandydaci, którzy nie mają przepisanych 6-ciu klas gimnazjalnych (mowa o sekretarzach gminnych) i w razie pomyślnego wyniku droga kariery administracyjnej będzie dla nich otwarta. Na dowód złożenia egzaminu absolwenci otrzymują świadectwo urzędowe na zasadzie odnośnego rozporządzenia pana ministra spraw wewnętrznych.

Program kursu przedstawia się w ogólnych zarysach następująco:

- 1) Organizacja Rzeczypospolitej Polskiej „ 10 godzin
- 2) Prawo cywilne i karne „ 24
- 3) Organizacja i zakres działania władz rządowych, a w szczególności władz administracji ogólnej „ 25
- 4) Prawo administracyjne „ 24
- 5) Ustrój samorządu terytorialnego „ 25
- 6) Ogólne zasady skarbowości państwowej „ 8
- 7) Skarbowość samorządowa wraz z prawem egzekucyjnym „ 25
- 8) Przepisy budżetowe „ 8
- 9) Przepisy rachunkowe „ 25
- 10) Przepisy biurowe „ 8

- 11) Przepisy urzędnicze „ 8
- 12) Działalność samorządu „ 96
- 13) Metody pracy społecznej „ 10
- 14) Wychowanie obywatelskie „ 4

Razem: godzin 300

Przed dostaniem etatowej posady absolwenci po uzyskaniu świadectwa muszą odbyć praktykę w gminie zbiorowej. Trwanie tej praktyki będzie ściśle ustalone i obejmie następujące działy pracy samorządowej:

I. dział ogólno-organizacyjny gminy.

1) Dokładne zaznajomienie się teoretyczne i praktyczne:

- a) z organizacją zarządu gminnego,
- b) z obowiązującą instrukcją kancelaryjną i praktycznym prowadzeniem czynności kancelaryjnych,
- c) z czynnościami poszczególnych komisji gminnych (rewizyjnej, drogowej, sanitarnej, opieki społecznej i t. d.),
- d) z czynnościami rady gminnej przez udział w posiedzeniach i prowadzenie protokołu uchwał rady gminnej.

II. Dział rachunkowo-kasowy.

Szczegółowe praktyczne zaznajomienie się z techniką prowadzenia wszystkich ksiąg rachunkowo-kasowych w gminie wiejskiej.

III. Dział finansowo-budżetowy:

1) dokładne praktyczne zaznajomienie się z działem „dochody gminy“ (finanse gminy wiejskiej),

a) własne: statuty podatków i opłat, uchwały w sprawach finansowych, wymiar, pobór podatków własnych, odwołanie,

b) obce: wymiar, pobór podatków państwowych, samorządowych i innych instytucji, sprawozdawczość, korespondencja w tych sprawach i sposób księgowania.

2) Przepisy budżetowe:

a) obowiązujące w tej mierze przepisy ustawowe,

b) forma i technika opracowania budżetu,

c) postępowanie, obowiązujące przy uchwalaniu budżetu, zatwierdzenie budżetu, wykonywanie budżetu, sprawozdawczość.

IV. Dział gospodarki gminnej.

Szczegółowe zapoznanie się praktyczne z agendami gminy zbiorowej w zakresie:

- a) gospodarki drogowej,
- b) oświaty,
- c) zdrowia publicznego, akcji sanitarno-porządkowej,

d) opieki społecznej (sprawy inwalidzkie i ubezpieczenia),

e) rolnictwa, weterynarii i hodowli,

f) przemysłu i handlu.

V. Dział administracyjny.

Szczegółowe zaznajomienie się z działalnością gminy w zakresie:

a) ewidencji i kontroli ruchu ludności,

b) bezpieczeństwa i porządku publicznego,

c) spraw wojskowych,

d) przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego,

e) spraw budowlanych.

VI. Organizacja i gospodarka gromad:

a) obowiązki sołtysa jako zarządu gromady (zarząd majątkiem),

b) obowiązki sołtysa w poręczonym zakresie działania,

c) kontrola działalności sołtysów przez wójta i zebrania sołtysów,

d) gospodarka majątkiem gromady.

Z ukończenia kursu praktycznego otrzymuje kandydat zaświadczenie odnośnej gminy, potwierdzone podpisem inspektora samorządu gminnego.

Na otwarty w Warszawie kurs uczęszcza już sześćdziesięciu kilku podoficerów. Jeśli da on dodatnie wyniki—na przyszły rok szkolny podobne kursy zostaną otwarte w całym kraju. Tam, gdzie nie będzie możliwe zorganizowanie kursu normalnego, będzie on prowadzony drogą korespondencyjną.

Z serji artykułów, które napisałem na temat pracy samorządowej, wynika chyba jasno, iż omawiane kursy będą wymagały od kandydatów bardzo dużego wysiłku umysłowego. Dlatego uważam, iż już teraz ci, co na przyszły rok chcą pójść na te kursy, powinni się do nich przygotowywać drogą samokształcenia. Dlatego, by zorientować się w planowym zorganizowaniu kursów na przyszłość, Wojskowy Instytut Naukowo - Oświatowy chce już w tym sezonie zimowym mieć orientacyjne dane co do przypuszczalnej ilości kandydatów na rok przyszły. Wszelkich informacji w sprawie kursów udziela Redakcja „Wiarusa“, ona też przyjmuje zgłoszenia kandydatów. W posiadaniu Redakcji jest spis potrzebnych podręczników, używanych na kursie, a potrzebnych do samokształcenia.

A. Rudnicki, major dyplomowany

PORTUGALJA

(89.625 km² i 6.198.000 mieszk.)

Republika Portugalska zajmuje zachodni pas półwyspu Pirenejskiego długości 660 kilometrów i 150–200 kilometrów szerokości, leżący między Hiszpanią i Atlantykiem. Na ziemiach jej ciągną się dalej pasma gór Hiszpanii i jej 3 największe rzeki: Duero, Tag i Gwadjana.

Portugalia posiada kilka równin obszerne i urodzajne, lecz przeważnie składa się z gór (sierras) częściej spalonych promieniami słońca, niż odkrytych zielenią lasów. W pasmie gór najważniejsza jest serra da Estrella, najwyższy szczyt—1993 metrów. Na wyniosłych wierzchołkach śnieg się utrzymuje przez kilka miesięcy w ciągu roku.

Główne góry północnej i środkowej Portugalii opierają się o płaskowzgórza jałowe lub żyzne. Na ich grzbiętach i u podnóża rosną najróżniejsze drzewa, począwszy od palm aż do drzew strefy umiarkowanej. W kraju tym spotyka się też rozległe obszary nagie, puste, posępne i ziejące złośliwymi gorączkami (prowincja Alemtejo) lub leżące odłogiem pola, szczególnie w górach środkowych, w ciepłym klimacie, a także opustoszałe wzgórza, na których gdzieś niegdyś pasą się owce.

W miarę posuwania się na południe upały się zwiększają, przypominając coraz bardziej Afrykę. Wędrowiec napotyka tutaj suche i wyludnione wąwozy Algarvi, prowincji najbardziej wysuniętej na południe z ludnością silnie zmieszaną z Maurami.

Klimat Portugalii na równinach i w pobliżu brzegów morskich jest ciepły, nieskwarny, w górach zaś zimny, lecz nie mroźny.

Oprócz Azorów i Madery, Portugalia posiada kolonie w Afryce i Azji, mianowicie wyspy Zielonego Przylądka, Gwineę portugalską, wyspy świętego Tomasza i Principe, Angorę, Mozambik, Indie Portugalskie, Makao i Timor, zajmujące ogółem obszar 2.079.577 kilometrów kwadratowych z 8.738.853 mieszkańców.



Mapka Portugalii



Para wieśniaków i zaprzęg wolów w północnej Portugalii



Wybrzeże nad Atlantykiem w okolicy przylądka Cabo da Roca



Krajobraz wydmy na północ od Lizbony



Dolina rzeki Duero. Transport winogron do fabrykacji wina



Barka na rzece Duero



Pole ryżowe w dolinie rzeki Mondego



Charakterystyczna winnica na zboczu góry

SPRAWY ZAGRANICZNE

KONFERENCJA ROZBROJENIOWA A ROZWÓJ LOTNICTWA

Dziwy się dzieją na froncie rozbrojeniowym, ani rusz pchnąć naprzód tego zagadnienia, nad którym biedzi się cały świat. Przedwstępna konferencja morska Anglii, Ameryki i Japonii utknęła na martwym punkcie, a sprawa wypowiedzenia Traktatu Waszygtońskiego przez Nippon, została już postanowiona. Nad Lemanem robione są wysiłki powrócenia życia nieboszczce konferencji rozbrojeniowej. Ale i tu skończyło się na błogich nadziejach Baldwina i Mac Donalda i na pięknym komunikacie Hendersona i Avenola...

A więc radzi się nad rozbrojeniem — ale tylko radzi. Co jest jednak najciekawsze, to że owe platoniczne narady dotyczą właściwie tylko dwóch dziedzin: wody i ziemi, natomiast o powietrzu zaledwie się coś niecoś wspomni...

W większości państw — obok ministerstwa wojny i ministerstwa marynarki — istnieje również ministerstwo lotnictwa. Słowem ów „trójwymiar“ uzyskał sobie w sferach fachowców pełne prawo obywatelstwa. Dlaczegoż przeto tak mało mówi się o ograniczeniu zbrojeń powietrznych, które w bieżącym roku w większości mocarstw dokonały wielkiego skoku naprzód.

Głównym powodem takiego stanu rzeczy jest prawdopodobnie fakt, iż trudno jest mówić o tem, co jest stosunkowo mało znane, o broni, której możliwości nie zostały jeszcze ustalone i zakreślone. Jeśli chodzi o wojsko i marynarkę, to szeregi wojen — z wielką wojną na czele — dały dosyć doświadczeń, które dają konkretne podstawy do dyskusji. Pojęcie broni ofensywnej i defensywnej jest przez większość ekspertów ustalone i znane politykom. Takie czy inne możliwości karabina maszynowego, czołgu lub krążownika są stosunkowo łatwe do przewidzenia i określenia. Nie można tego powiedzieć o broni powietrznej. Doświadczenia wojenne streszczają się tylko do ostatniego zmagania narodów i są, bezwzględnie niewystarczające. Zresztą lotnictwo było wówczas w powijkach. Rozwój lotnictwa idzie niewspółmiernie wielkimi krokami w stosunku do postępu innych broni. Już nie lata, ale dni i godziny przynoszą w tej dziedzinie coraz to nowe sensacje. Ostatni rajd An-

glija — Australia był rewelacją użytecznej szybkości i wytrzymałości lotu. Słyszmy o próbach bezszmerowych silników w Anglii, o możliwości pionowego startu i t. d. Możliwości lotnictwa zmieniają się z dnia na dzień, ten sam los spotyka teorie jego użycia na wojnie.

Na łamach „Polski Zbrojnej“ toczy się oddawna dyskusja na ten temat. Ale tak samo jest na całym świecie. Entuzjaści lotnictwa robią z niej broń wprost jedyną i pierwszą. Tem nie mniej wiele poważnych głosów wojskowych widzi w nim jedynie broń pomocniczą w rękach sztabu generalnego i admiralicii...

Entuzjaści twierdzą, że przed zwarem się armij lotnictwo zbombarduje ośrodki wojskowe, przemysłowe, komunikacyjne, wreszcie same transporty przeciwnika. Miasta i fabryki legną w gruzach, psychika narodu załamie się, nerwy nie wytrzymają „odrazu“ Lotnictwo morskie uniemożliwi każdą blokadę.

Są głosy pośrednie, wiążące bardziej lotnictwo z działaniem armii — wreszcie zwolennicy współdziałania w różnych „warjantach“.

Postaram się „politycznie“ podejść do tego zagadnienia. Jaka będzie ta przyszła wojna? Jeśli uznamy, że wypadki będą się rozwijały w ramach zakreślonych umowami i traktatami, to dojdziemy do pojęcia wojny „karnej“. Ten dotychczas uznany rodzaj wojny zrodził się w ramach Ligi Narodów i paktu Kelloga. Wedle tego możliwa jest tylko wojna w postaci ekspedycji większości, wiernej zasadom pokoju, przeciwko państwu (mniejszości), które ten pokój złamało. W tem ujęciu sprawy wojny, zdaje się, że entuzjaści lotnictwa mieliby słusność. Nie ulega wątpliwości, że wówczas najłatwiej byłoby wysłać na ukaranie gwałcicieli pokoju ekspedycję połączonych sił lotniczych państw, przestrzegających paktów i umów. Pojęcia Anglii i Francji są zgodne pod tym względem. Pierwsza mówi o międzynarodowej policji powietrznej, druga o kontygentach lotniczych Ligi Narodów (z państw do niej wchodzących). Jednakowoż stosunki, panujące dotychczas między państwami, wchodzącymi do Ligi Narodów, zdają się zaprzeczać możliwości zaistnienia kapitalnego warunku takiej akcji: jednomyślności. I nic nie wskazuje na to, aby mogła ona nastąpić. Mówi się wprawdzie obszernie o porozumieniu lotnictw Anglii, Francji, Belgii, ale gdyby tak było, to nie rozstrzyga to nawet sprawy na kontynencie europejskim.

A tymczasem fakty wskazują, że stara, dobra znajoma — wojna samodzielna, czy też raczej „prywatna“, istnieje. Mandżukos i Gran-Chaco są tego widomym dowodem. Liga Narodów i paktu nic tu nie pomogły. Zresztą, mój Boże, jeśli się nie może dojść do jednomyślności w sprawie definicji napastnika, czy można mówić o jednomyślnym zbrojnym działaniu?

„Normalna“ wojna między państwami, zwłaszcza w obecnym położeniu Europy, musi mieć na oku cel terytorjalny, jeśli chodzi o napadającego. Cel taki związany jest zawsze z pewnym planem ekonomicznym. Jest rzeczą więcej niż wątpliwą, aby plan taki przewidywał zniszczenie miast, fabryk i t. p. w kraju, który ma zamiar zająć, a samo to najciężej musi być wreszcie wykonane przez armję. Podają to w formie upro-

szczonego rozumowania, ale wnikliwa analiza wykaże, że pomysły wielkich rajdów powietrznych będą musiały być uzgadniane z politykami, ekonomistami, przemysłowcami...

To nie jest wcale proste, „czysta wojna“ rzadko kiedy chodzi sama. Można z tego wysnuć jednak jeden wniosek zasadniczy i logiczny. Lotnictwo, jako czynnik zupełnie samodzielny, nie po party przez armję lub flotę, może tylko występować w wypadku akcji silniejszego przeciwko znacznie słabszemu, a wszechstronnie niszczyielska jego działalność będzie użyta tylko w wypadku karnego charakteru tej akcji.

Politycy i wodzowie narodów muszą się jednak liczyć z jednym nowym czynnikiem wojny. Dotychczas oddziaływano na psychikę ludności umiejętną agitacją, oślaniano ją powoli blokadą i idącym za nią głodem. Dziś lotnictwo będzie bezwzględnie bronią „gwałtownego szoku nerwowego“. To też praca nad nerwami społeczeństw znajdzie się niewątpliwie w programie każdego przewidywanego państwa.

Mamy nieudane konferencje: rozbrojeniową i morską. O konferencji lotniczej cicho — delikatne to zagadnienie, drażliwe, nieokreślone. A tymczasem kryzysowe budżety państw uginają się pod brzemieniem zbrojeń powietrznych. Kto wytrzyma, kto wygra ten wyścig — czy nie będzie on powodem nowych powikłań gospodarczych?

Polityka idzie w ostrogach lotniczych. Anglia straciła charakter wyspiarski — Baldwin wytyczył z tego powodu granicę obronną Albionu nad Renem. Wielkie manewry lotnicze pod Paryżem i Londynem — to ogromny sukces nacierających sił lotniczych, a fiasko obrony. Wynik ich — nowe kredyty na obronę państwa — i od tej chwili coraz mocniejsze zbliżenie angielsko-francuskie, spowodowane w znacznej mierze lotnictwem niebezpieczeństwem ze strony Niemiec...

Lotnictwo i polityka wiążą się z sobą aż nazbyt widocznie. Zobaczymy to jeszcze wyraźniej po spodziewanym zupełnym fiasku konferencji morskiej. Polityczne podróże pana Ribentropa — z jego wekslem dobrojenia Rzeszy, który chce by mu podpisano in blanco — mają zapewne swój oddźwięk w pogotowiu lotniczym i politycznym wielu, wielu państw.

W KŁATCE Z LWAMI



— A cóż panu przyszło do głowy, żeby strzelać z rewolweru do człowieka w biały dzień?

— W nocy, panie sędzio, żona nie pozwala mi wychodzić!



— Teściowa chce się z panem zobaczyć!
— Dobrze! Niech wejdzie!

Juljusz Kozłowski

17) ROLA PODOFICERA W DAWNEM WOJSKU POLSKIEM

W połowie stycznia 1807 roku nowosformowane oddziały polskie ruszyły na Bydgoszcz, Świecie ku Gdańskowi, gdzie zamknął się pruski generał Kalckreuth. Po szeregu utarczek o zmiennem szczęściu, 23-go lutego dywizja Dąbrowskiego stanęła pod Tczewem, bronionym przez Prusaków. Doszło tu do pierwszej większej

natychmiast, mimo gradu kul, i wparł się do miasta". Miasto zostało zdobyte.

Przyszło następnie oblężenie Gdańska, zakończone kapitulacją jego garnizonu, następnie udział w bitwie pod Frydlandem, po zawarciu zaś pokoju pułki wróciły do garnizonów pokojowych w utworzonym przez pokój tylżycki Księstwie Warszawskim. Nie dla wszystkich jednak był pokój. Na drugim krańcu Europy rozpalila się znowu wojna w Hiszpanji i tam za orłami cesarza podążyli wezwani jego rozkazami Polacy. 7 pułków piechoty i 3 pułki kawalerji polskiej walczyły tam, okrywając się sławą, ale też i szczerze szafując krwią polską. Z pułków tych szybko zabłysnął i nieśmiertelną okrył się sławą pułk szwoleżerów polskich gwardji cesarza Napoleona.

Napoleon, chcąc związać ze swą osobą Polaków, postanowił utworzyć w swej gwardji wyborowy oddział polski tej broni, w której Polacy celowali, a więc kawalerji. Aby dostać się do istniejących pułków gwardji cesarskiej, trzeba było być dekorowanym legją honorową, odbyć co najmniej cztery wyprawy wojenne lub mieć dwadzieścia lat służby, w Polsce jednak nie można było znaleźć wielu odpowiednich kandydatów, posiadających te warunki. Wobec tego Napoleon w dekrete swym, datowanym 6 kwietnia 1807 roku w Finkenstein, ustalił dla polskiego pułku kawalerji gwardji, który miał się nazywać pułkiem lekkokonnym—szwoleżerów—inne warunki wyboru. A więc miał się on składać z ochotników, właścicieli ziemskich lub ich synów, czyli inaczej mówiąc ze szlachty. Ochotnicy ci mieli własnym kosztem sprawić sobie konia, rząd, mundur i oporządzenie. Ochotnicy ze szlachty, którzy nie mogliby nabyć konia i umundurować się własnym kosztem, mieli w tym celu otrzymać zaliczkę ze skarbu cesarskiego, którą następnie potrącano im z żołdu dziennego.

Formacją pułku zajęli się w Warszawie majorowie gwardji Delaitre i Dautancourt, dowódcą pułku zaś cesarz mianował Wincentego Krasieńskiego. Dalsze stopnie oficerskie obsadzono ochotnikami wedle ich służby poprzedniej i zdolności. Oficerami zostało tu wielu z gwardji honorowej warszawskiej

i poznańskiej, weszło tu też kilku, co służyli w wojsku pruskiem i dawnem polskiem. Do pułku zbiegł się kwiat młodzieży szlacheckiej, mieszczańskiej, a wbrew może intencji twórcy pułku, wkrótce także i wieśniaczej, jak sądzić można z listy nazwisk żołnierzy. Pułk otrzymał mundur dawnej kawalerji narodowej i nazwę „polskiego”, jakiej urzędowo nie miały pułki Księstwa Warszawskiego. Ponieważ pułk składał się przeważnie z młodzieży inteligentnej, wkrótce szybko wyszkolone jego transporty, w miarę uformowania, zaczęły odchodzić do Francji. Młodzi oficerowie i podoficerowie różnych stopni, wybrani z pośród ochotników, a dobrze wyszkoleni przez surowych organizatorów francuskich, przykładali się pilnie do służby. Dzięki temu pułk o składzie wyborowym, ujęty w karby dyscypliny, nie tłumiącej jednak fantazji i rozmachu, wkrótce z szarego końca gwardji cesarskiej wydobyl się na poczesne miejsce, a czynami swemi zdobył sobie sławę w świecie, do dziś jeszcze żywą. Stał się on też świetną szkołą rycerską, bo w twardej żołnierskiej służbie, poczynając od szwoleżera, wyrabiały się tu dziesiątki przyszłych oficerów nie tylko swego pułku, ale prawie wszystkich pułków kawalerji polskiej.



Rok 1810. Podoficer pułku szwoleżerów-lansjerów gwardji

potyczki. Kompanja wołtyżerów 1-go pułku, doszedłszy do murów miasta, powitana została gradem kul, a nieostrzelany żołnierz zachwiał się pod silnym ogniem i zaczął ustępować. Dowódca tej kompanji, porucznik Chłapowski, opowiada, że spojrzawszy w twarz poległego przy nim podoficera Moroha, i „obaczywszy twarz białą, jak śnieg, a całe ciało bez ruchu”, stracił głowę. Ale za nadzieją reszty bataljonu zdołał się opanować i zebrać żołnierzy. Przybyła francuska armata i trzema bezpośrednimi strzałami wyłamała bramę. Dowódcy zachęcali swe oddziały do szturm, ale żołnierze, przerażeni pierwszym momentem strachu, jakoś nie bardzo chcieli się ruszyć. Wtem szefszwadronu Weyssenhoff, spostrzegłszy, że badeński bataljon gotuje się do uderzenia na bramę, zawołał do wahających się żołnierzy: „Cóż, dacie się uprzedzić tym Niemcom?” „Ta apostrofa taki wywarła skutek, że cały bataljon ruszył



Rok 1812. Podoficer szwadronu Tatarów litewskich gwardji
(d. c. n.)

NASZE SPRAWY

PROJEKTY I MOŻLIWOŚCI

Czas już przystąpić do krytycznej oceny projektów, rzuconych przez szereg Kolegów i krytycznej oceny możliwości ich zrealizowania. Jest to tem bardziej wskazane, że ostatnio rzucono szereg projektów, do których zrealizowania potrzebne są poważne zasoby materialne, a nie podano w projektach innych sposobów rozwiązania zagadnienia, oprócz konieczności opodatkowania się. Ten rozmach w rzucaniu projektów, jako też szczodra ręka w dysponowaniu kieszenią Kolegów bez wniknięcia, czy kieszeń ta jest w stanie płacić — jest faktem, że projektodawcom nie są chyba znane możliwości materialne ogółu podoficerów.

Niewątpliwie każdy, kto dąży do podniesienia społeczności podoficerskiej, kto pragnie podnieść dobrobyt materialny podoficera, powinien doznać od ogółu podoficerskiego poparcia. Oczywiście tylko wówczas, jeżeli w naszych warunkach taka rozbudowa społeczna jest potrzebna i konieczna oraz jeżeli ta rozbudowa ma pełne warunki zrealizowania — mając na względzie koszty, które musimy ponieść. Nietylko więc ja, ale każdy z radością poprze projekt realny. Natomiast nie powinniśmy lansować projektów, które ze względu na nasze trudności materialne są zgóry skazane na zagładę — przynajmniej w dzisiejszych warunkach.

Do projektów zgóry skazanych na niepowodzenie, zaliczam wszystkie projekty „funduszowe”. Mierzmy bowiem siły na zamiary, a nie zamiar według sił. Co gorsza, rzucamy lekkomyślnie cyframi członków i sumami, mającymi miesięcznie wpłynąć do kas „funduszków”, a ani jedno, ani drugie nie są realne.

Nie łudźmy się kilkoma entuzjastami, którzy pochwalają ten czy inny rzucony projekt... Kto chciałby poznać zasoby materialne przyszłych członków, niech zajrzy do listy płac i do listy potrąceń. Tam są te rzeczywiste dane, które mogłyby nas uświadomić jakich możliwości materialnych możemy oczekiwać od ogółu podoficerskiego.

Nie chcę bynajmniej być czarnym krukiem i krakać. I mnie, jak każdemu z podoficerów, leży na sercu podniesienie się społeczno-

ści podoficerskiej i dobrobyt materialny naszego ogółu. Ale nie jest zarówno dla mnie jak i dla każdego z nas tajemnicą, że są podoficerowie, którzy tylko podpisują listy u płatnika, a pieniądze biorą wierzyciele. Coprawda to tacy są już dziś rzadkością, ale to nie zmienia rzeczywistości, że jednak są. Następnie czy jest to tajemnicą, że wielu z podoficerów pobiera zaledwie kilkuzłotowe pobory i to tylko dlatego, że nie wzięto im tyle, ile są dłużni?

Trzeba popatrzeć prawdzie w oczy i stwierdzić, że bardzo wielu z nas nie zapłaciłoby nietylko 10 złotych miesięcznie na jakiś fundusz, ale nawet 5 złotych. Wyjątek może stanowiłby fundusz oszczędnościowy, oparty nie na mirażach premii parotysięcznej, ale na solidnej i systematycznej oszczędności z odpowiednim oprocentowaniem i składanej w odpowiedniej instytucji. Tylko to jedno w naszych warunkach jest możliwe do przeprowadzenia. Na inne obciążenia nie możemy sobie pozwolić poprostu dlatego, że nie stać nas na nie.

Natomiast leży przed nami inne zadanie. Powinniśmy dążyć nie do dalszego obciążania naszych poborów, ale do przyprowadzenia naszych warunków materialnych do stanu, umożliwiającego nam życie i pracę. Już najwyższy czas skończyć z kredytowaniem na prawo i lewo. Przecież nie są rzadkością takie wypadki, że pobory podoficera są obciążone pożyczką z funduszu zaliczek na uposażenie, funduszem samopomocy, kredytem spółdzielni wojskowej, stołowni podoficerskiej, nie mówiąc już o tem, że trzeba jeszcze zapłacić mieszkanie, mleko, krawca, szewca i t. d. Jeżeli podsumujemy to wszystko — to pytam się, gdzie są środki na opłacanie wkładek 10 złotych?

To są sprawy, o których, niestety, mało się mówi, a jeszcze mniej pisze. Jest to niesłuszne. O tych sprawach powinniśmy mówić między sobą i pisać. Życie podoficera, który musi fizycznie bardzo ciężko pracować, powinno być wolne od trosk materialnych. Jeżeli więc pobory nasze, przy budżecie z ołówkiem w rękę prowadzonym, mogą nam to umożli-

wić — to naszym obowiązkiem powinno być, by tych trosk materialnych miał podoficer jak najmniej. Niektórzy zaś, zapewne w najlepszej wierze, wyobrażają sobie, że stan nasz jest lepszy, niż jest w istocie i ci właśnie mimowoli ten stan chcą pogorszyć.

Co trzeba zrobić, aby nie „zaciągać nadmiernych zobowiązań”? Są na to dwa sposoby. Pierwszy to drogą perswazji wpłynąć na zainteresowanych i przekonać ich jakie konsekwencje grożą podoficerowi, który zaciąga długi i nie płaci ich, a tem samem naraża tak siebie jak i ogół podoficerski na miano ludzi, którzy nie płacą swych zobowiązań. Jeżeli nie pomogą perswazje, wówczas należy użyć drugiego sposobu, a tem jest poddanie danego podoficera kurateli materialnej. Zrzeszenie, a nawet w ostateczności władze przełożone podoficera muszą ująć sprawę jego budżetu w swoje ręce.

Być może, że będzie to dla niego bolesne. Ale tylko początkowo. Z chwilą, gdy jego sprawy materialne, jego budżet domowy, osiągną znów potrzebne dla życia minimum, wówczas zmieni się jego stosunek do „kuratorów”. W każdej chorobie, która ma swą przyczynę we wrzodzie, tak się postępuje, że się wrzód, mimo boleści, wycina, aby nie nastąpiła gangrena.

Pisząc o projektach i możliwościach, postąpiłem mojem zdaniem słusznie. Zwróciłem bowiem uwagę na zło, które nosi charakter prawie ciężkiej choroby. Ponadto pragnąłem przez napisanie tego artykułu zwrócić uwagę prezydentów na rzeczywistość i skłonić ich, by na przyszłość brali pod uwagę nietylko to, co kiedyś będzie, ale także i to, co jest obecnie.

Milczeć o tych sprawach niema ani potrzeby, ani obowiązku. Wprost przeciwnie. Należy o tych sprawach mówić i pisać.

Niniejszym artykułem wszczęm dyskusję na temat, jakimi środkami powinniśmy usunąć zło zadłużenia, aby później zrealizować projekty, których w przeciągu ostatnich kilku lat rzucono wiele na łamy „Wiarusa”, a które nie znalazły dotąd zrealizowania.

Wojnicki, starszy sierżant

MANEWRY NA WESOŁO

Manewry! Ileż to w tym jednym wyrazie zamyka się wysiłek i trud żołnierskiego, ile nieprzespanych nocy, a gorących dni, ileż to chwil pogodnych i wesołych z postojów na kwaterach, gdzie roześmiane gęby wiejskich dziewczoi obracały się za żołnierzem — jak słonecznik za słońcem. Bo gdzież tyle humoru i werwy, tyle śmiechu i wesoła — jak nie w żołnierskim stanie, gdzie beztrudne jutro jaśniało na twarzach, spalonych słońcem na brąz.

Rozpoczęła się wojaczka, bezkrwawa wprawdzie, ale taka najprawdziwsza, nieczem wojna. Wprawdzie „umrzyków” nie było, ale wypadki, o — i owszem, bo przecież zawsze znajduje się jakiś „nie-dojda”, który, trzymając się bliskości kuchni, wpadnie pod jej koła, lub jakiś niezgrabiasz dostanie się pod działo.

Inni, oho! Inni zato walczyli, jak lwy. W spiekocie jesiennego słońca, czy też w słońcu deszczowych dni — szli zawsze naprzód, goniąc wroga, który, tyły nieprzywólcie pokazawszy — wiał jak się patrzy.

A czasem, czasem... samemu trzeba było rejterować, odgryzać się krok za krokiem, ale z godnością przecież i po żołniersku. Walczyli chłopcy o każde osiedle i wzgórze, o każdą rzeczkę czy strumyk, zdając egzamin z nauki tego, co przez szereg dni wbijano im w głowę w koszarach. Żołnierski trud był podniętą, odniesione zwycięstwo sukcesem, ocenianym od najwyższych dowódców do pojedynczego żołnierza. I dlatego ten ostatni swym uporem i wytrwałością pozyskał sobie miano — dobrego polskiego żołnierza.

Na miano to najwięcej zasłużył piechur, choć — broń Boże — i innym broniom nie nie ujmuję.

Z zarcieciem na „froncie” niebardzo się śpieszą. A to dlatego, że kucharz niezawsze zdąży na czas ugotować, a to znów tak pożądane kuchnie trzymają się w przyzwolonej odległości od oddziałów walczących. Bo nikt nie przewidzi, co się stać może. A nuż odwrót zaskoczy i trzeba będzie wiać, by nie dostać się do niewoli sromotnie. Więc dla tych i jeszcze dla innych przyczyn, wiadomych tylko Bogu i żywnościowemu... te kochane, pożądane kuchnie były, ale zawsze na tyłach.

Ala żołnierz wie co to wojna. Wygód nie szuka. I o pustym brzuchu walczyć umie, tem zacieklej i odważniej. Wszak manewry, to przygotowanie żołnierza do znoszenia trudów wojennych w polu, odmiennych jak w garnizonie, gdzie się najeść i spać można było dosyta.

Co innego kawalerja. Ułan czeka chwili i gdy sposobność się nadarzy — czyto w pościgu za wrogiem, czy też przyczaiwszy się — runąć szarżą na wroga, to ułańska rzecz. Błyszczą w słońcu szable, furczą chorągiewki. Ława za ławą suną ułańskie szyki. Zda się, na szablach rozniosą tę szarą piechotę.

Obrócone działa zieją kartaczami, maszynki grają, że aż strach... — a ława sunie. Wszak to tylko „ślepaki”, nikomu

szkody nie czynią, a brawura ułańska ich gna.

A nieraz szwadronik, dostawszy się na tyły wroga, buszuje i robi „strach”. Wypadnie z zarośli, postrzela trochę i



...gdzie roześmiane gęby wiejskich dziewczoi obracały się za żołnierzem, jak słonecznik za słońcem

Fotografował strzelec J. Łopacki

dalej na koń i w nogi, gdy się doń naprawdę dobierano. Na baterje na stanowiskach wjechać, działa zabrać — to ułańskie męstwo. I gdy wreszcie zduszonemu rozjemcy sprzykrzy się ta brawura i szwadron zlikwiduje na czas pewien, to znów w drugim miejscu wypłynie, by się od niego, jak od much utrapionych, opędzić.

A spróbuj do niewoli takiego pana ułana wziąć: „Te, zając, mój koń ogonem cię zagna”. Ostroga — koń jęknął i stęknął, tylko kurz pozostał po ułanie. „Kobyłarz!” — piechur mu rzuca z po-

gardą i życzenia — „żebyś se kark skreślił, taki synu”.

A już najgorszym wrogiem piechura były tankietki. Sunie to jak żółw po ziemi, opancerzone mocno i bezkarnie strzela, aż się kurzy. Chyba, że artylerja gdzieś dojrzy żelazne smoki. To ci już po nich. Wyrwają, tylko kadłuby trzęsą im się ze strachu.

I tak ten szary piechur musiał ujadąć się na wszystkie strony, padać na ziemię, prześlizgiwać się pod ogniem ciężkich karabinów maszynowych i jeszcze miarkować, by wszemmożny rozjemca kartki ci do szpitala nie przypiął. Bo raz nie honor, gdy cię zdrowego rannym zrobią i wygodnym samochodem „tapiduchy” do szpitala odwiozą, a po drugie, choć wikt tam dobry i opieka niezła, ale cię długo nie trzymają i zpowrotem na piechotę do oddziału drałować każą, nieraz z 50 kilometrów. To i lepiej tej przyjemności uniknąć.

Lecz wreszcie — jak wszystko ma swój koniec, tak się skończyły i manewry.

Dnia 12 września bieżącego roku miasto Wysokie Litewskie święciło wielki dzień. Przybrało, jak mogło, świąteczny wygląd. Powiewały narodowe chorągwie, łopotały sztandary. Przed pałacem hrabiów Potockich wzniesiono podium, z którego generał dywizji Piskor przyjął defiladę w otoczeniu generałów, szwytów i przedstawicieli społeczeństwa.

O godzinie 8.30 rozpoczęła się rewja, nieczem na placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie. W takt granego marsza sunęła kompanja za kompanją, pułk za pułkiem, dywizja za dywizją. Wszystko w karnym ordynku, w szyku rozwinęty, całą przestrzeń szosy zajął. Żołnierz przeżył pierś, wyteżał wrodek, śmiało patrzeć w oczy generała. Miał duchowe zadowolenie za poniesiony trud i znój i moralne przeświadczenie, że praca jego nie poszła na marne.

Każdy pułk witano entuzjastycznie okrzykami: „Niech żyją!”, które wznosił zwarty szpaler ludzki, jako dowód hołdu i spójni duchowej ludności cywilnej i wojska. Syły się kwiaty pod stopy żołnierzy, defilujących sprężystym krokiem, bijąc miarowo o ziemię.

A echo radośnie niosło pieśń potęgi i zwycięstwa, które odbijało się w pobliskim parku o mury starego zamczyska Potockich i milkło wśród drzew, szemrzących dawne dzieje obronnego grodu i teraźniejszego wielkiego dnia.

Pierwszy maszerował 35 pułk piechoty. Chylił się przed trybuną sztandar, udekorowany krzyżem „virtuti militari”. Za nim inne pułki, dywizje, brygady kawalerji, bataljony saperów, bataljony czołgów itd. W powietrzu szybowały żelazne ptaki. Sunęły trójkątem maszyny myśliwskie z potężnym warkotem silników.

Rewja zakończyła się około południa, pozostawiając tak w widzach, jak i wykonawcach woli narodu i Wodza, niezatarte wrażenie potęgi siły twórczej i tężyzny duchowej Polski i jej obywateli.

„Eren”



Przyszli wojacy przy broni

Fotografował strzelec J. Łopacki

Z TYGODNIA



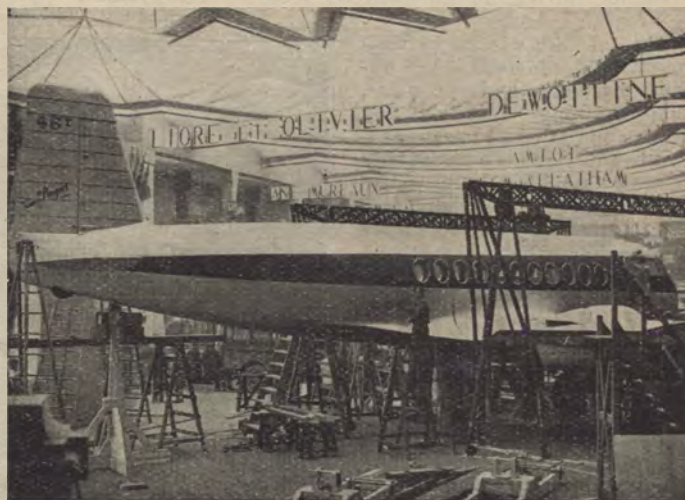
104 ROCZNICA POWSTANIA LISTOPADOWEGO W WARSZAWIE

Pan Prezydent Rzeczypospolitej przed frontem szkół podchorążych na dziedzińcu zamkowym

Delegacje szkół podchorążych składają wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza



(Zdjęcie lewe) Defilada szkół podchorążych na Rynku Starego Miasta. (Zdjęcie prawe) W tegorocznych manewrach wojska japońskiego użyto na szeroką skalę nowy model wyprodukowanego w Japonii małego czołga A. P.



FRAGMENTY Z WYSTAWY LOTNICZEJ W PARYŻU

(Zdjęcie lewe) Wodnosamolot Macchi C. 72, na którym Agello ustanowił w roku bieżącym nowy światowy rekord szybkości — 709,202 kilometrów na godzinę. (Zdjęcie prawe) Olbrzymi Breguet (Associated Press)



29 listopada odbył się w Londynie niezwykle uroczysty ślub księcia Jerzego (syna króla angielskiego Jerzego V) z księżniczką Maryną grecką. Na zdjęciu lewym widzimy młodą parę w otoczeniu głów koronowanych i członków domów panujących, na prawym zaś tłumy mieszkańców (a raczej mieszkanek) Londynu, które całą noc, poprzedzającą uroczystości, przesiadziały na chodnikach, aby kto inny rano nie zajął im zdobytego miejsca. Jedną z pań fotograf przyłapał podczas rannej toalety



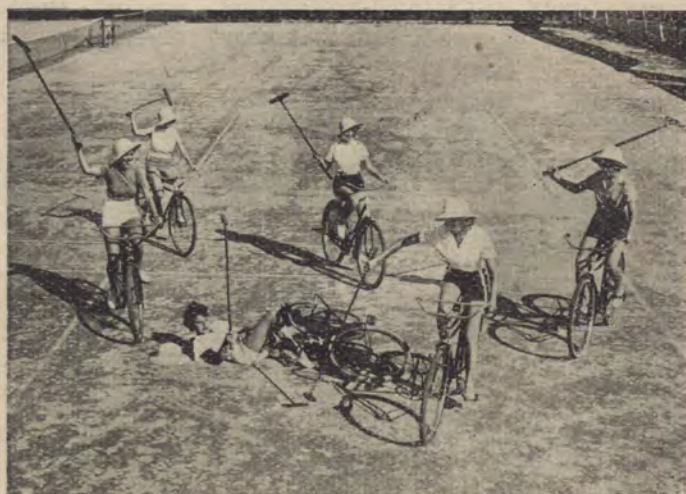
Miejsce dotychczasowego prezesa senatu Gdańskiego dr. Rauschninga objął dotychczasowy wiceprezes Greiser



21-letni bokser rumuński Mitou Gogea urosł chyba ponad wszelkie granice przyzwoitości, 2 metry 25 centymetrów—to wzrost rekordowy



2.000 narodowych socjalistów wsiada na okręty w jugosłowiańskim porcie Susak, aby udać się do Niemiec. Są to uczestnicy nieudanego zamachu stanu w Austrii, w czasie którego zginął kanclerz Dollfuss. Po zamachu pokonani przekroczyli granicę jugosłowiańską i do ostatniej chwili przebywali tam w obozie internowanych, a teraz jadą do... Niemiec



(Zdjęcie lewe) W odpowiedzi na demonstracje studentów czeskich w Pradze (żądali wydania starożytnych insygniów przez uniwersytet niemiecki uniwersytetowi czeskiemu) studenci wiedeńscy (Niemcy) odpowiedzieli manifestacjami i demonstracjami, których skutki widzimy na lokalu wiedeńskiego dziennika „Der Tag” (Zdjęcie prawe) Na korcie tenisowym w Miami (Kalifornia) urządza się od czasu do czasu grę w golfa zamiast na koniach na rowerach. Ponieważ Czytelnikom naszym naogół łatwiej o rower niż o konia—możeby zechcieli również spróbować tego nowego sportu

(Associated Press)



DZIAŁ



KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

INSTRUKTOR OŚWIATY I PROPAGANDY W K. O. P. JAKO WSPÓŁCZYNNIK W WYCHOWANIU ŻOŁNIERZA

Z dniem 1 kwietnia bieżącego roku stanęli do swej służby w bataljonach Korpusu Ochrony Pogranicza instruktorzy oświaty i propagandy.

Dotąd ogóln-oświatowe i propagandowe prace w bataljonach spoczywały wyłącznie na barkach oficerów i podoficerów, w pierwszej zaś mierze oficera oświatowego bataljonu. Był on obowiązany, poza normalnymi zajęciami służbowymi, wykonać bardzo trudną i specjalnego przygotowania wymagającą pracę organizacyjną.

Od dnia 5.IV bieżącego roku rozkaz dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza Nr. 20/34 w punkcie 7 postanawia, że... „Instruktor jest pomocnikiem dowódcy bataljonu (pułku) w pracy oświatowo-kulturalnej i propagandowej wśród żołnierzy bataljonu i wśród ludności cywilnej”.

Obowiązki instruktora są przede wszystkim natury organizatorskiej, instrukcyjnej i wizytacyjnej.

W oparciu o obowiązujące instrukcje i rozkazy instruktor oświaty montuje aparat wykonawczy pracy oświatowo-kulturalnej i propagandowej wśród żołnierzy

bataljonu i wśród ludności cywilnej tak, aby ta praca była uzgodniona z całokształtem innych prac bataljonu w jeden rytm nigdy nie słabnącej aktywności. Jako taki instruktor działa jako organ swego bezpośredniego przełożonego—dowódcy bataljonu.

Uzupełnieniem tej pracy jest działalność instrukcyjno - wizytacyjna.

Zadaniem wizytacji są sprawy bardziej złożone. Wykonawcami prac oświatowych na niższych szczeblach są przeważnie podoficerowie, odcięci od innych jednostek, działający samodzielnie. Mimo najlepszej ich woli, mogą zająć wypadki nienależytego zrozumienia i niefachowego wykonania rozkazu. Musi tu więc istnieć fachowa praca uzgadniająca i pouczająca i ona właśnie stanowi drugi dział pracy wizytacyjnej, dział o pierwszorzędnej doniosłości.

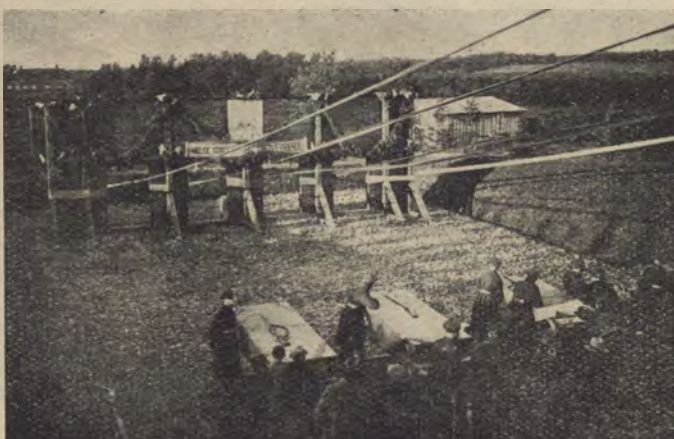
Jak wiemy, specjalny kurs oświatowy przysposabia podoficerów Korpusu Ochrony Pogranicza do zadań wykonawczych w zakresie oświaty i propagandy. Dotychczasowa ilość absolwentów kursu oświatowego nie wystarcza na ob-

sadzenie nawet najważniejszych odcinków tej pracy.

Dlatego obecnie instruktor oświaty obejmuje osobiście najważniejsze z nich. Należy tu przede wszystkim bezpośrednie prowadzenie pierwszego stopnia żołnierskiej szkoły początkowej, z wyjątkiem tych wypadków, gdy można tę pracę powierzyć zawodowemu nauczycielowi cywilnemu lub wytrawniejszemu podoficerowi, absolwentowi kursu oświatowego. W każdym jednak razie cała nauka w żołnierskiej szkole początkowej w obwodzie bataljonu powinna być pod bezpośrednią i stałą opieką instruktora oświaty.

Drugim terenem pracy wykonawczej instruktora oświaty będzie centrala biblioteczna bataljonu. Lecz i tutaj nie tyle chodzi o pracę kancelaryjną, o pisaninę, ile o celowy plan, dobór i wymianę kompletów, pilnowanie zawartego w książkach majątku skarbowego i wogóle o pracę kierowniczą.

Na innych odcinkach powinien być instruktor inicjatorem, przewodnikiem i doradcą, a bezpośrednim wykonawcą tylko tak długo, dopóki nie wyszkoli wła-



Otwarcie strzelnicy w jednym z oddziałów Korpusu Ochrony Pogranicza



Zespół dziecięcy teatru amatorskiego bataljonu „Ludwikowo”

ściwych wykonawców z pośród kadry podoficerskiej.

Ta krótka charakterystyka roli instruktora oświaty i propagandy w bataljonie wskazuje na konieczność ścisłej jego współpracy z podoficerem i naodwrot.

Zamierzenia dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza mają na celu, aby każdy dowódca strażnicy, każdy podoficer w Przysposobieniu Wojskowem i przynajmniej 4-ch podoficerów na pododdział w obwodach miało ukończony kurs oświatowy.

Jest to zupełnie zrozumiałe z dwóch względów. Więcej niż połowa szeregowców znajduje się wyłącznie pod opieką podoficerów, a poza tem podoficer jest najbardziej stałym elementem w Korpusie Ochrony Pogranicza.

Podoficer jest więc z natury rzeczy organem wykonawczym akcji oświatowej i propagandowej w bataljonie Korpusu Ochrony Pogranicza, którą kieruje w imieniu dowódcy bataljonu instruktor.

Wobec tego będą się oni obydwaj służbowo często z sobą stykać. Ich stosunek do siebie, stopień zaufania i szacunek, jakim będą się wzajemnie darzyć, wydatnie zaważą na wynikach ich pracy. Dlatego powinni obaj „znać

swoje miejsce“ we wzajemnych stosunkach.

„Miejsce“ podoficera jest na tyle już jasne, że instruktor już choćby jako oficer, względnie podchorąży rezerwy, należycie je ocenić potrafi.

„Miejsce“ instruktora jest nowe i bardziej może napozór niewygodne.

Przedewszystkiem jest on osobą cywilną — urzędnikiem. Jako taki nie ma on formalnych uprawnień starszeństwa i przełożenia. Ta okoliczność mogłaby niejednokrotnie powodować pewne zamieszanie tem więcej, że — jak wspominałem — „miejsce“ czyli pozycja instruktora jest nowa. Środowisko bataljonu Korpusu Ochrony Pogranicza nie znało dotąd funkcjonariusza o takiej pozycji. Byli i są urzędnicy w wojsku czy w Korpusie Ochrony Pogranicza. Nigdy jednak dotąd nie mieli oni styczności z żołnierzem jako jego współwychowawcy. Instruktor oświaty jest pierwszym takim właśnie urzędnikiem, który świadomie, bezpośrednio i stale ma obowiązek oddziaływać wychowawczo na żołnierza.

Kozkaz dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza Nr. 20/34 usuwa jednak wszelkie co do tego wątpliwości. Z chwilą bowiem,

gdy instruktor oświaty i propagandy — jako pomocnik dowódcy bataljonu w tym dziale — otrzymuje od tego dowódcy upoważnienie do wykonywania w jego imieniu nadzoru nad tym działem pracy, uzyskuje tem samem w ramach tego upoważnienia prawo instruowania i wglądu. Jako taki ma on prawo do konsekwentnie z tego wynikającego posłuchu.

Wyrażnie to zaznacza w punkcie 7 rozkaz Nr. 20/34 ustęp 3-ci, który mówi, że „do obowiązków instruktora w pracy nad żołnierzem należy: ... b) nadzór nad nauczaniem w żołnierskich szkołach początkowych i instruowanie nauczycieli (podoficerów, względnie cywilnych) w innych jednostkach bataljonu, nie wyłączając strażnic“.

Zresztą nie na tem tylko będziemy budować współpracę instruktora oświaty z podoficerem Korpusu Ochrony Pogranicza. Współpraca ta oprze się przede wszystkim na tem, że jeden i drugi, jako prawi obywatele swojej ojczyzny, wierzą, że przez zgodną współpracę i szacunek dla wysiłku drugiego najlepiej przysłużą się państwu, którego dobro jest dla nich najwyższem prawem.

Lord

WYCHOWANIE TOWARZYSKIE ŻOŁNIERZA NA STRAŻNICY

Wychowanie towarzyskie żołnierza rozpoczynamy od chwili przybycia jego na strażnicę. Będzie ono miało późniejszy wpływ na stosunek żołnierza do ludności cywilnej i odwrotnie, ludności do żołnierzy załogi. Poza tem, po jego zwolnieniu z wojska, będzie spełniało rolę propagandową, ponieważ rodzina lub otoczenie, widząc dobre zachowanie się byłego żołnierza, będzie z wdzięcznością i uznaniem myślała o jego przełożonych, którzy go w wojsku tak dobrze wychowali.

Pierwszem zadaniem dowódcy strażnicy po przybyciu uzupełnienia będzie odzwyczajanie od przekleństw tych żołnierzy, którzy mają brzydką wadę zaprawiania swojej mowy przy każdej sposobności „mocnemi“ słówkami. Wadę tę mają szczególnie żołnierze, pochodzący ze środowisk wielkomiejskich. Nowoprzybyłym żołnierzom dowódca strażnicy powinien

oświadczyć, że nie chce słyszeć przekleństw na strażnicy, a w stosunku do tych, którzy nie będą tego zakazu przestrzegać, będzie wyciągał konsekwencje. Najbardziej dotkliwą „konsekwencją“ będzie w tym wypadku zakaz brania udziału w zabawach, urządzanych z okazji uroczystości i świąt przez strażnicę, lub też przez ludność cywilną. Stosując ten zakaz, należy wytłumaczyć żołnierzowi, że używanie wyrazów ordynarnych jest niegodne mundur żołnierza, a przecież stykając się z ludnością cywilną reprezentuje wobec niej wojsko, a szczególnie dobre imię żołnierza Korpusu Ochrony Pogranicza i musi być pod każdym względem bez zarzutu.

Drugim środkiem, mogącym wpłynąć na żołnierzy w tym kierunku, będzie oświadczenie dowódcy strażnicy, że ci, którzy nie oduczą się „wzmocniania“ swojej mowy ordynarnymi wyrazami, nie

będą brani pod uwagę przy wyznaczaniu na urlopy świąteczne, również ze względów na reprezentację mundur żołnierza Korpusu Ochrony Pogranicza. O ile i ta groźba nie poskutkuje, dowódca strażnicy musi zabrać się indywidualnie do takich niepoprawnych i wyszukać w psychice żołnierza taką drogę, którą można go będzie doprowadzić do poprawy. Zrozumiałą jest rzecz, że w pierwszym rzędzie trzeba samemu zawsze służyć przykładem.

Następnem zadaniem dowódcy strażnicy będzie nauczanie jedzenia w sposób kulturalny i posługiwania się nożem i widelcem tych żołnierzy, którzy tego nie umieją. W tym celu dowódca strażnicy musi jeść obiad wspólnie, za jednym stołem, ze swoją załogą, a gdy ma rodzinę i stołuje się w domu — przynajmniej asystować przy obiedzie.

Przedewszystkiem musi wytłu-



W wolnych chwilach przy gazetce



Teatr amatorski batalionu Ludwikowo

maczyć potrzebę mycia rąk przed jedzeniem i dopilnować przestrzegania tej czynności. Przy obiedzie trzeba pokazać w jaki sposób posługiwać się należy nożem i widelcem, zwracać uwagę tym, którzy jedzą zbyt łapczywie, hałaśliwie i t. d. Na każdej strażnicy zawsze znajdzie się kilku takich, którzy u siebie w domu przyzwyczajeni byli jeść, posługując się wyłącznie łyżką i palcami. Dla takich żołnierzy obiad pod dozorem swego dowódcy będzie na początku niezwykle krepujący.

Przypominam sobie, jak to swojego czasu uczyłem jeść załogę swojej strażnicy i jakich wybiegów używali tacy żołnierze, aby uniknąć potrzeby posługiwania się nożem i widelcem. Podaję tutaj jeden z takich klasycznych wybiegów. Ponieważ kuchnia była oddalona od strażnicy (popolitycznej) o kilkanaście kroków, wrogowie noża i widelca, niosąc dru-

gie danie do świetlicy, gdzie były zastawione stoły i gdzie byłem obecny przy obiedzie—zjadali po drodze mięso, aby tylko przy stole nie używać nakrycia. Tacy żołnierze, o ile mieli wracać ze służby w godzinach obiadowych, z reguły spóźniali się na obiad, aby później spożyć go sobie gdzieś w kąciaku w sposób dla nich najdogodniejszy.

Ciągły nadzór dowódcy strażnicy zrobi wkońcu swoje i wśród odchodzących do rezerwy nie będzie już takich, którzyby nie umieli, lub też nie chcieli w przyszłości jeść w sposób godny człowieka kulturalnego.

Grzeczność jest podstawowym warunkiem do uzyskania opinii człowieka dobrze wychowanego. Dowódca strażnicy musi uczyć swoich żołnierzy grzeczności chociażby dlatego, że żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza ze względów propagandowych musi odno-

sić się do ludności cywilnej po graniczą zawsze grzecznie. Żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza musi pamiętać, że bez względu na to, czy będzie to człowiek inteligentny, czy też prosty, biedny chłop kresowy, ubrany w łapcie i zgrzebną koszulę — należy go traktować zawsze grzecznie, ponieważ jest on również obywatelem jednej dla nas Ojczyzny, posiada równe dla wszystkich obywateli kraju prawa, płaci podatki, odbywa służbę wojskową i t. d.

Dowódca strażnicy musi przy każdej sposobności pouczać żołnierzy, że wyższość swojej kultury powinni okazywać miejscowej ludności nie przez pogardliwe jej traktowanie, ale właśnie przez grzeczność i taktowne w stosunku do niej postępowanie. Takie odezwanie się żołnierza do chłopca, jak na przykład „Ty, chazajaju“, lub pogardliwe przypominanie mu przy każdej sposobności jego niższości kulturalnej — nie powinny mieć miejsca, ponieważ może to w dużej mierze wpłynąć na nieprzychylnie ustosunkowanie się tego chłopca do wojska, a pośrednio i do państwa.

Można byłoby jeszcze dużo powiedzieć o tem, co należy robić, aby żołnierz załogi strażnicy odchodził do rezerwy jako człowiek dobrze wychowany. Lecz tę pracę wychowawczą każdy dowódca strażnicy może prowadzić w sposób zupełnie różny od sposobów, stosowanych przez kolegów, a wyniki osiągać równie dobre. Dlatego też ograniczę się tylko do podkreślenia, że wychowanie towarzyskie żołnierza załogi strażnicy ma wielkie znaczenie propagandowe, należy mu więc poświęcać wiele uwagi i pracy.

R. Mackiewicz, sierżant

KALENDARZYK HISTORYCZNY

OD 9 DO 15 GRUDNIA

9 grudnia 1636 roku. Zmarł ksiądz Fabjan Birkowski, najznakomitszy po Skardze kaznodzieja polski; brał udział w wyprawach wojennych królewicza Władysława IV go. Kazania swoje wygłaszał często w obozach i na pogrzebach znakomych wojowników, na przykład hetmana Chodkiewicza i innych.

9 grudnia 1651 roku. Zmarł Mikołaj Potocki, hetman polny; w bitwie pod Korsuniem w 1648 roku dostał się do niewoli kozackiej.

10 grudnia 1918 roku. W walkach z Ukraińcami w Małopolsce Wschodniej oddziały nasze zajęły szereg wsi w okolicach Lubaczowa i Mościsk.

12 grudnia 1860 roku. W Szymborzu na Kujawach urodził się Jan Kaspro-wicz, znakomity poeta polski. Napisał: „Z chłopskiego zagonu“, „Miłość“, „Ginącemu światu“, „Moja pieśń wieczorna“, „Księga ubogich“ i wiele innych utworów wierszem i prozą.

12 grudnia 1914 roku. Ciężkie walki Legionów na Węgrzech, pod Okörmerö.

13 grudnia 1797 roku. Urodził się Henryk Heine, znakomity poeta niemiecki; słynął zwłaszcza z krótkich, uszczypliwych utworów, w których niejednokrotnie ośmieszał stosunki niemieckie.

14 grudnia 1799 roku. Zmarł Jerzy Waszyngton, twórca niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i pierwszy ich prezydent. Pod jego rozkazami walczyli: Kazimierz Pułaski i Tadeusz Kościuszko.

15 grudnia 1772 roku. Urodził się Euzebjusz Słowacki, profesor literatury w uniwersytecie wileńskim, ojciec poety, Juliusza.

15 grudnia 1840 roku. Przewieziono z wyspy św. Heleny zwłoki zmarłego tam w 1821 roku cesarza Napoleona Bonaparte'go i uroczyste pochowano w Kościele Inwalidów w Paryżu.

Z NASZEGO ŻYCIA

11 LISTOPADA W 2 DYWIZJONIE POCIĄGÓW PANCERNYCH

Zwyczajem lat ubiegłych dzień 11-go listopada obchodzono w naszym dywizjonie bardzo uroczyście; poprzedziły go okolicznościowe pogadanki, które dowódcy pododdziałów wygłosili dla szeregowych.

Wieczorem dnia 10-go listopada koło pomnika Marszałka Piłsudskiego przyjął raport komendant garnizonu, podpułkownik Mazurkiewicz, od dowódcy całości capstrzyku, majora Pelikana, poczem odczytano rozkaz okolicznościowy i odegrano hymn narodowy, podczas którego podniesiono flagę państwową. Po odczytaniu rozkazu o awansach ulicami miasta przeciągnął capstrzyk przy udziale plutonu honorowego z dywizjonu z orkiestrą Ochotniczej Straży Pożarnej na czele.

Po powrocie z capstrzyku odbył się w kasynie oficerskim raut dla oficerów dywizjonu, a w kasynie podoficerskim zabawa taneczna dla podoficerów, na której bawiono się wesoło do późnych godzin.

W dniu 11-go listopada uroczystości zapoczątkowała msza święta, odprawiona o godzinie 9-ej przez księdza proboszcza Łabędzia w miejscowym kościele parafjalnym.

Po nabożeństwie odbyła się defilada na rynku przed komendantem garnizonu, podpułkownikiem Mazurkiewiczem, w otoczeniu przedstawicieli władz państwowych i samorządowych. W defiladzie wzięły udział, oprócz naszego dywizjonu, także Kurs Straży Leśnej, Związek Strzelecki, Ochotnicza Straż Pożarna, Inwalidzi i t. d.

Imponująco wyglądały w defiladzie czołgi, które po raz pierwszy tego roku brały udział w defiladzie dywizjonu.

O godzinie 18-ej w sali „Sokoła” odbyła się uroczysta akademja, urządzona staraniem Związku Strzeleckiego, na której złożyło się słowo wstępne, wygłoszone przez doktora Pikulskiego, burmistrza

miasta, na temat powstania Polski Niepodległej.

Cyroń Józef, starszy sierżant

OBCHÓD ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI W GARNIZONIE NOWA- WILEJKA

W roku bieżącym garnizon nasz obchodził uroczystości 16-tą rocznicę odzyskania niepodległości Polski.

W przeddzień święta, to jest dnia 10 listopada, zarząd miasta Nowa-Wilejka zorganizował pochód na grób powstańca z 1863 roku. W pochodzie wzięła udział kompanja honorowa wojska, oddziały przysposobienia wojskowego, szkoły, oraz liczna publiczność miejscowa. Przemówienia nad grobem wygłosili burmistrz miasta Nowa-Wilejka i ksiądz proboszcz parafji cywilnej.

O godzinie 17-tej orkiestry 85 pułku strzelców Wileńskich i 13 pułku ułanów Wileńskich przemaszzerowały ulicami miasta i odegrały uroczysty capstrzyk.

O godzinie 14-tej w świetlicy pułkowej odbyła się uroczysta akademja dla szeregowych służby czynnej, o godzinie 19-tej odbyła się druga akademja w świetlicy pułku, dla rodzin. Na akademjach okolicznościowe przemówienie wygłosił kapitan Wachowski, poczem nasz teatr żołnierski odegrał utwór sceniczny pod tytułem „Szaleni romantycy” Bronisława Bakala.

Dnia 11 listopada o godzinie 10-tej na błoniach przykoszarowych odbyła się uroczysta msza polowa, w której wzięła udział cała załoga garnizonu, wszystkie organizacje miejscowe, szkoły, oraz liczna ludność z miasta i okolicznych wiosek. Po nabożeństwie odbyła się defilada wojsk i organizacyj przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego. Defiladę przyjął komendant garnizonu i dowódca 85 pułku strzelców Wileńskich podpułkownik Korwin-Kossakowski. Defilada wypadła imponująco.

W godzinach popołudniowych odbyły się dwie akademje w mieście, urządzone przez stowarzyszenia cywilne, na których nie brakło licznych delegacyj wojskowych.

Zarzycki, starszy sierżant

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI W GARNIZONIE WILEŃSKIM

Święto rozpoczęło się dnia 10.XI pogadankami w świetlicach w godzinach popołudniowych. Miasto przybrało odświętny wygląd. Gmachy udekorowano flagami o barwach narodowych. O godzinie 20-ej na skwerku Orzeszkowej, przy ulicy Adama Mickiewicza, odbył się capstrzyk połączonych wileńskich orkiestr wojskowych, które pod batutą kapitana kapelmistrza Reszkiego odegrały bardzo pięknie hymn narodowy, marsza Sulejówek — Belweder Pierwszą Brygadę—ku zadowoleniu działwy i dorosłych mieszkańców miasta. Dnia 11.XI o godzinie 10-ej odbyła się polowa msza święta na placu Łukiskim przy ołtarzu zbudowanym przez saperów Wileńskich. Wzięły w niej udział wszystkie rodzaje broni, oraz budzące ogólne zaciekawienie tankietki kompanji broni pancernej, biorącej pierwszy raz udział w uroczystościach i w defiladzie.

Dziarsko przemaszzerowały wojska piesze, ułani, cieszący się powodzeniem u publiczności z powodu fruwających na wietrze barwnych proporczyków, lecz najwięcej zaciekawienia budziły tym razem tankietki. Słyszało się głosy: „Ho, ho, nasze wojsko nie pozostaje w tyle za innymi, nawet niektóre wyprzedza swoimi zgrabnemi i groźnemi tankietkami”. Podczas defilady krążyły w powietrzu klucze samolotów.

Dzień święta niepodległości przyniósł też awanse młodszym podoficerom. Wejście do kin było dla wojska bezpłatne.

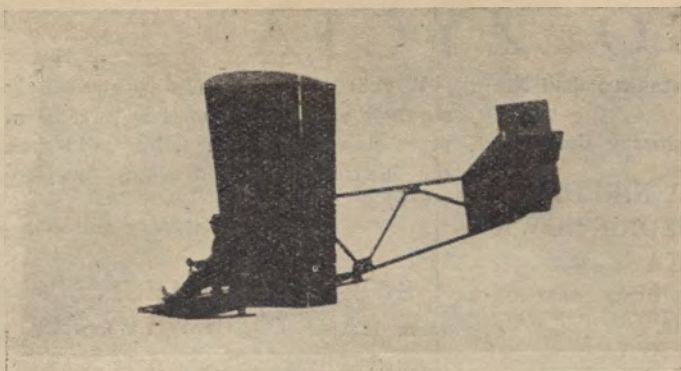
B. Danilewicz, plutonowy



Pożegnanie pana pułkownika Żongołłowicza Eugenjusza dowódcy 57 pułku piechoty przez korpus podoficerski



Dekoracja krzyżem zasługi podoficerów zawodowych garnizonu Garwolin



Koło szybowcowe Szkoły Podchorążych dla Podoficerów.
Szybowiec w locie



Szybowce koła szybowcowego Szkoły Podchorążych dla
Podoficerów w dniu zawodów

POD ZNAKIEM SKRZYDEŁ (Szybownictwo w Bydgoskiej Szkole Podchorążych dla Podoficerów)

Że nie święci garnki lepią, to wiemy z teorii wszyscy. W praktyce jednak rzadziej to ma swój odpowiednik. Szkoła, o której będę pisać i na liście wychowanków której figuruję, stosuje wyżej cytowane przysłowie w czynie w odniesieniu do takiej dziedziny życia, jaką jest lotnictwo. Ot, poprostu Komenda Szkoły w programie zajęć obowiązkowych zamieściła i lotnictwo. Do tych prac pociągnięto wszystkich, których lekarz uznał za zdolnych do latania. I już od półtora roku w teorii i praktyce program ten żyje, przyjął się i coraz lepiej się rozwija. Dziwna rzecz! Jedna jedyna Szkoła Podchorążych w świecie, która takie—zdawałoby się—osobliwe obowiązki nakłada na swych uczniów; stuprocentowy unikat wśród pokrewnych wojskowych zakładów naukowych. Zdawałoby się, że może lotnictwo to niepotrzebny balast dla wychowanków, że ich zbyt obciąża i wystawia na ryzyko ich młode życie. Ale jednak szkoła uparła się i postawiła na swoim. Wyszła ze słusznego założenia, że jeżeli ma wychowywać, urabiać kandydatów na oficerów, to niechże jej absolwenci będą pełnowartościowymi jednostkami. Niech nie tylko umieją obsługiwać broń lądową, ale niech nie będzie im obcą broń najmłodsza, przytem najpiękniejsza, najbardziej nowoczesna — lotnictwo.

Gdzież, jak nie w przestworzach znajdują się najlepsze warunki wyrabiania w człowieku odwagi, aż do brawury, i dzielności, które powinny nieodzownie cechować duszę nowoczesnego oficera. Dawniej naszymi skrzydlatymi rycerzami była husaria, dziś są nimi lotnicy. A my—nasza szkoła — jako jego atom, też pójdziemy z nimi i to nie na szarym końcu.

Zamiast opisywać szczegółowo, jak się odbywały te treningi, to nasze pierwsze stawianie kroków, a raczej rozwijanie skrzydeł do lotu—podam, jak się już odbyły zawody, do których się staje już po pewnym przygotowaniu i wyszkoleniu. Odbyły się one 28.X 1934 roku; ra-

zem z organizacjami cywilnymi nasza szkoła „wstąpiła w szranki” lotnicze. Były to pierwsze tego rodzaju zawody w Polsce, o parę kilometrów od Bydgoszczy. Był to nie tylko generalny przegląd sił lotnictwa bezsilnikowego, lecz i święto skrzydeł, w którym gremjalnie uczestniczyło społeczeństwo Bydgoszczy i Fordonu. Przegląd ten wypadł nadspodziewanie imponująco.

Zawody te odbyły się na szybowisku Koła Szybowcowego w Bydgoszczy, na pagórkach w pobliżu Fordonu.

Przed samymi zawodami odbyło się jeszcze uroczyste poświęcenie pierwszego hangaru dla szybowców. Następnie wygłoszono kilka okolicznościowych przemówień, po których odczytano nadesłany przez pana ministra Wacława Jędrzejewicza list z okazji zawodów szybowcowych.

Oto treść tego listu w dosłownym brzmieniu:

„Dziękuję uprzejmie za nadesłanie odznaki honorowej Koła Szybowcowego w Bydgoszczy, którą przyjmuję z prawdziwą przyjemnością. Przypomina mi ona bowiem młode lata, gdy pracowałem jako jeden z pierwszych w Polsce zwolenników szybownictwa, latając już w roku 1912 na aparacie własnej konstrukcji w okolicach Warszawy (bliższe dane w „Album poległych lotników”, str. 19—22).

„Przesyłając fotografię tego aparatu i lotu w 1912 roku dla zbiorów Koła, życząc członkom Koła najlepszej pracy i jak najlepszych wyników”.

Wreszcie rozpoczęły się zawody. Najpierw zaczęły się starty do konkurencji na najdłuższy czas lotu dla pilotów szybowcowych kategorii „A”. Następnie kategorii „B” i „C”.

Zawody wielce utrudniał porywisty wiatr zachodni, który niekiedy osiągał nawet 9 metrów na sekundę. Było to wielką przeszkodą na szybowisku ffordońskim. Pomimo to zawodnicy rąk, a raczej skrzydeł nie opuszczali. Publiczność mogła podziwiać piękne wyczyny, jak to lotnik szybowcowy, wykorzystując prądy powietrzne, wzbijał się na coraz większą wysokość i — manewrując sterami — szybował.

Na zakończenie zawodów odbyło się rozdanie nagród najlepszym pilotom lotnictwa bezsilnikowego. Wśród nagrodzonych kilka pierwszych miejsc zdobyli podchorążowie.

Z tego więc widzimy, że lotnictwo szybowcowe przybrało u nas kształty realne. Ambicją szkoły jest danie swemu uczniowi, oprócz dyplomu oficerskiego, także i dyplomu lotnika szybowcowego, by mógł później, już bez większego trudu, zdobyć dyplom pilota-lotnika, oraz brać czynny udział w lotnictwie sportowym, które u nas w kraju szybko się rozwija. Szkoła nasza spełnia to zadanie w całej pełni. Uprzystępniając swoim wychowankom zaznajomienie się z pilotażem, Bydgoska Szkoła Podchorążych przyczynia się, wysyłając corocznie zastępy swych wychowanków do pułków, do rozpowszechniania i umiłowania sportu lotniczego, który może przecież w przyszłej wojnie odegrać bardzo ważną rolę w zmaganiach powietrznych z innymi państwami.

Lotnictwo ma jeszcze tę dobrą stronę, że wprowadza duszę w krainę ideału i piękna, odrywa nas od szarzyzny życia, ziemi i od jej spraw, uszlachetniając nasze dusze, wznosząc je coraz wyżej. Przeto nie szczędźmy sił, by własnym przykładem porywać innych. Wpajajmy we wszystkich przekonanie niezłomne, że Polska to nie tylko mocarstwo na ziemi, ale i w powietrzu. I dążmy, aby to mocarstwo było śpiżowe i na niewzruszonych podstawach oparte.

Mazur Andrzej
starszy sierżant-podchorąży

BIEG ZA LISEM PODOFICERÓW ZAWODOWYCH 12 PUŁKU UŁANÓW PODOLSKICH

Dzień 3 listopada jest dniem patrona myśliwych — świętego Huberta. Zdawna czyli go różne narody chrześcijańskie, a gdy kult tego świętego dotarł na ziemię naszą, polscy myśliwi dzień ten obchodzili bardzo uroczystie. Trzeba wiedzieć, że do Polski kult świętego Huberta, jako patrona myśliwych, dotarł z zachodu dość późno, bo dopiero w XVIII wieku —

za czasów panowania pierwszego Sasa, Augusta II Mocnego. Sama jednak legenda o świętym Hubercie, o jeleniu z go-rejącym krzyżem między imponującymi rogami, była znana znacznie wcześniej na ziemi sarmackiej.

I my, kawalerzyści 12 pułku ulanów, idąc śladami naszych przodków—ucziliśmy godnie dzień patrona myśliwych.

W dniu 3 listopada bieżącego roku zebraliśmy się na placu koszarowym, skąd poprowadził „bractwo” do biegu za lisem rotmistrz dyplomowany Kański Celestyn. Ruszyliśmy w kilkadziesiąt koni w teren. Trasa biegu, biegnąca na przestrzeni kilku kilometrów przez pola, lasy i góry, obfitowała w szereg przeszkód, jak rowy, płoty, zwalone drzewa, oraz trochę przykre zjazdy, naprzykład góry Bony, gdzie wielu jeźdźców miało duszę na ramieniu. Nie przeszkadzało to jednak pędzić dalej, by zdobyć lisi ogon. Zdobywcą tym został wachmistrz zawodowy Mazur Stanisław.

Bieg zakończyliśmy tradycyjnym bigosem, zakropionym zlekka małą „czystą”.

Skrzypek Kazimierz, wachmistrz

APEL DO KOLEGÓW

Dla celów osobisto-służbowych (emerytalnych) proszę Kolegów, którzy służyli w 34 pułku strzelców w byłej armji austriackiej o łaskawe podanie swych adresów.

*Żeglicki Eugenjusz, sierżant
3 pułku strzelców Podhalańskich, Bielsko na Śląsku*

Z ŻYCIA 7 PUŁKU ARTYLERJI LEKKIEJ

Oficer oświatowy zreferował, dowódca pułku zatwierdził i oto mamy co 2-gi i 4-ty czwartek każdego miesiąca „czwartki kultury ogólnej”.

Miłe są te gawędy czwartkowe: tem miłsze, że sięgając w głąb naszych dusz, naświetlają we właściwy sposób wiele zagadnień, podsuwają szereg nowych tematów i pobudzają do ich rozważania.

Słowem ukazują nowe widnokreśli i potęgują radość życia.

Porządek dnia naszych czwartkowych zebrań przedstawia się następująco: jeden z kolegów wygłasza krótki referat, po referacie — dyskusja. Zapewne jesteście ciekawi, Koledzy, tematów referatów? Oto niektóre: „Dlaczego kocham Marszałka?”, „Czem jestem silny jako żołnierz-obywatel?”, „Koleżeństwo i jego przejawy w moim życiu służbowym”, „Dlaczego dbam o swój wygląd zewnętrzny?”, „Podoficer w towarzystwie cywilnym” i t. p. Potem omawiamy wspólnie sprawy, dotyczące naszego kasyna, jego wyglądu zewnętrznego, przejawów w nim naszego życia i współżycia, naszych wystąpień wobec społeczeństwa cywilnego: jako jednostek, lub jako korpusu, naszej współpracy z oficerem oświatowym pułku, naszej pracy samokształceniowej, naszych obowiązków i form towarzyskich, oraz szeregu innych ciekawych zagadnień, wyłaniających się w toku dyskusji nad świeżo wysłuchanym referatem. Obecny na zebraniu nasz opiekun—oficer oświatowy—pomaga nam wydatnie, kierując naszymi myślami, poprawiając, wyjaśniając.

Tak oto „czwartki kultury ogólnej” sprawiły, że nasze życie duchowe i pra-

cę ozłocił jeszcze jeden promień radosny, rozjaśniając nasze dążenia kulturalne i wzmacniając radość życia i wiarę we własne siły.

A.—Wu.

OD REDAKCJI

Szanownych Czytelników i Prenumeratorów naszego pisma z 7 pułku artylerji lekkiej prosimy, ażeby zechcieli nadsyłać nam materiały, omawiane na „czwartkach kultury ogólnej”, a dotyczące ciekawych zagadnień, które mogłyby zainteresować ogół podoficerów i nie były jeszcze wcale, względnie szerzej omawiane na łamach „Wiariusza”. Gdyby nadały się pod względem treści, Redakcja chętnie je zamieści ku pożytkowi naszych Czytelników.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pan starszy sierżant Antoni Dec—bataljon Korpusu Ochrony Pogranicza Kopyczyńce.—Wyjątek z pamiętników starszego sierżanta w stanie spoczynku Juliana Krzubka będzie wkrótce drukowany. Autora zawiadomiliśmy według podanego przez Pana adresu. Zwłoka w odpowiedzi, tak długa, nastąpiła z powodów rzeczowych. Należy pana sierżanta Krzubka zachęcać do spisywania wspomnień wojennych, gdyż umie to robić.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jubileuszowy numer «Skrzydlatej Polski».

Organ Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej „Skrzydłata Polska” uczcił pamięć zwycięstwa lotnictwa polskiego w Challenge'u i zawodach Gordon Benett'a wspaniałym numerem, przeszło 100-stronicowym, ozdobionym wielką ilością fotomontaży i kolorowymi wkładkami. Jest to zarazem numer jubileuszowy wydawnictwa, które w październiku roku bieżącego obchodziło 10-lecie swojego istnienia.

Oprócz sprawozdań z obu turniejów, zawartych w wyczerpujących artykułach inżynierów: Kwaśniaka, Rogalskiego, Challier'a, Kączkowskiego, Wędrychow-

skiego, Jacuńskiego i innych, omówiono obszernie dział lotnictwa polskiego, w którym zamieścili swoje autografy i artykuły szefowie naszego lotnictwa oraz najwybitniejsi lotnicy, a więc: minister Bobkowski, generał Rayski, podpułkownik Kwieciński, major Skarżyński i inni. Z ciekawą historią jubilatki, która z pisma młodzieży stała się organem lotnictwa sportowego, zapoznaje nas redaktor J. Osiński w artykule „Od Młodego Lotnika do Skrzydlatej Polski”.

Jubileuszowy zeszyt „Skrzydlatej Polski” robi pod każdym względem nader korzystne wrażenie znaleźć się też powinien w rękach każdego, kto interesuje się lotnictwem.



Dekoracja krzyżem zasługi oficerów, podoficerów i legionistów 2 pułku piechoty legionów w dniu 11.XI.1934

Fotografował sierżant Jan Kotliński



Zespół teatralny Koła Opiek, nad Żołnierzem i kompanji ćwiczebnej Centrum Wyszczolenia Saperów odegrał 21.XI «Zaryczyny pod kulami» Kiedrzyńskiego oraz rewję

NAJNOWSZE ROZKAZY

I. Dziennik Rozkazów Nr. 9 zawiera między innymi następujące rozkazy:

1. Święto pułkowe 26 pułku piechoty — zostało zmienione i przesunięte z dnia 17 września na dzień 15 czerwca (pozycja 179).

2. Nadawanie stanowisk wysłużonym podoficerom zawodowym w administracji wojskowej. Uchylając wszystkie dotychczasowe rozkazy w sprawie nadawania stanowisk wysłużonym podoficerom zawodowym wojska i marynarki wojennej w administracji wojskowej, pan minister spraw wojskowych zarządził co następuje:

a) uprawniające do zaopatrzenia emerytalnego stanowiska urzędników III-ej kategorii i stanowiska niższych funkcjonariuszów państwowych w administracji wojskowej będą obsadzone wyłącznie przez wysłużonych podoficerów zawodowych wojska i marynarki wojennej. Stanowiska niższych funkcjonariuszów państwowych w administracji wojskowej mogą być nadawane podoficerom zawodowym, posiadającym kwalifikacje na stanowiska urzędników III-ej kategorii, tylko na ich własną prośbę

b) Począwszy od 1 grudnia 1934 roku, obsadzanie stanowisk, wakujących w administracji wojskowej, będzie uskuteczniane centralnie przez Ministerstwo Spraw Wojskowych (Biuro Personalne). W związku z tem dowódce Okręgów Korpusów, dowódca Korpusu Ochrony Pogranicza, oraz szef Kierownictwa Marynarki Wojennej mają bezzwłocznie zawiadamiać szefa Biura Personalnego o zawiakowaniu stanowiska w podległych im formacjach, zakładach i urzędach. Stanowiska w marynarce wojennej są obsadzone na wniosek Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej, który podaje przewidzianego na to stanowisko kandydata z pośród wysłużonych podoficerów marynarki wojennej. W braku odpowiednich kandydatów stanowisko będzie obsadzone wysłużonym podoficerem wojska, posiadającym wymagane na to stanowisko kwalifikacje.

c) W sprawach wnoszenia przez podoficerów zawodowych prośb o nadanie stanowiska w administracji wojskowej obowiązują przepisy, zawarte w rozporządzeniu Rady Ministrów z dnia 17-go czerwca 1933 roku w sprawie trybu nadawania stanowisk w cywilnej służbie państwowej (patrz „Wiarus” Nr. 34 z 1933 roku, stronie 786/787) z tem, że o ile petent nie oświadczy, do jakiego rodzaju stanowiska cywilnego przygotował się i na jakie stanowisko reflektuje, uważać się będzie, że ubiega się on o stanowisko w administracji wojskowej. Podania spóźnione rozpatruje szef Biura Personalnego w tym kierunku, czy zaniebdanie terminu uznać należy za usprawiedliwione i w razie przychylniej decyzji otrzymuje ona dalszy bieg, jeśli idzie o obsadzenie stanowiska w administracji wojskowej. We wszystkich innych przypadkach spóźnioną prośbę przekazuje się komisji kwalifikacyjnej, powołanej do spraw nadawania stanowisk w służbie cywilno-państwowej, samorządowej lub w przedsiębiorstwach państwowych (o regulaminie tej komisji piszemy niżej pod III).

d) Kwalifikowanie kandydatów na stanowiska w administracji wojskowej przeprowadza szef Biura Personalnego

według kolejności wniesionych podań. W pierwszym rzędzie rozpatrywane będą podania tych kandydatów, którzy w podaniu oświadczyli, że ubiegają się o nadanie stanowiska w administracji wojskowej. Decyzja o zakwalifikowaniu kandydata powinna zapaść do dni 10 iu od daty otrzymania podania przez Biuro Personalne. Podania kandydatów, których nie zakwalifikowano na stanowiska w administracji wojskowej bądź z powodu braku wolnych etatów, bądź z powodu nieodpowiednich kwalifikacji kandydata, przekazuje szef Biura Personalnego bezzwłocznie wyżej wspomnianej komisji kwalifikacyjnej.

e) Przy rozpatrywaniu kwalifikacji kandydatów na stanowiska w administracji wojskowej brane są pod uwagę warunki ogólne, wymagane na stanowiska w administracji wojskowej (wiek, stan zdrowia, wykształcenie, kwalifikacje moralne i t. p.) oraz warunki szczególne, wymagane na dane stanowisko.

f) Sprawa obsadzenia stanowiska w administracji wojskowej powinna być definitywnie załatwiona w takim czasie, by podoficer zawodowy o zamierzonym mianowaniu go na dane stanowisko lub o dopuszczeniu go do służby przygotowawczej (praktyka, kurs) był zawiadomiony najpóźniej na 7 miesięcy przed upływem terminu zobowiązania do służby zawodowej. Podoficer zawodowy, ubiegający się o stanowisko w administracji wojskowej, który nie odbył jeszcze służby przygotowawczej jest obowiązany odbyć tę służbę, przyczem korzysta z płatnego urlopu dla odbycia praktyki (kursu). Koniec służby przygotowawczej powinien zasadniczo zbiegać się z końcem wojskowej służby zawodowej. Gdyby czas trwania służby przygotowawczej był dłuższy, właściwy przełożony przedłuża kandydatowi służbę zawodową na okres czasu, potrzebny do ukończenia służby przygotowawczej. Po ukończeniu służby przygotowawczej (praktyki, kursu) i dopełnieniu innych warunków, podoficer zawodowy zostaje mianowany urzędnikiem III-ej kategorii lub niższym funkcjonariuszem państwowym w administracji wojskowej — na stałe (na stanowisko uprawniające do emerytury). Jeżeli w czasie służby przygotowawczej okaże się, że podoficer zawodowy nie nadaje się na dane stanowisko, szef Biura Personalnego może takiego kandydata zakwalifikować ponownie na jedno ze stanowisk bądź nie wymagających uprzedniej praktyki (kursu), bądź na takie, które kandydat może otrzymać stosownie do swych kwalifikacji. W przypadku nie nadawania się kandydata również na to stanowisko lub w braku takich stanowisk — sprawa jego będzie przekazana ogólnej komisji kwalifikacyjnej. W razie zaś przekroczenia terminów, ustalonych dla wnoszenia prośb o nadanie stanowiska w służbie cywilno-państwowej (samorządowej, przedsiębiorstwie państwowym) podoficer zawodowy zostanie przeniesiony w stan spoczynku, o ile odpowiadać będzie warunkom, przewidzianym w ustawie emerytalnej.

g) Niezgłoszenie się podoficera zawodowego z własnej winy, celem objęcia stanowiska, na które został mianowany, albo też do służby przygotowawczej w terminie wyznaczonym, lub też zwolnienie podoficera zawodowego z jego winy ze służby przygotowawczej powoduje

utrata prawa do otrzymania stanowiska w trybie i na zasadach określonych w powyższym rozkazie oraz utratę prawa do zaopatrzenia emerytalnego. O powyższych skutkach orzeka ostatecznie minister spraw wojskowych na wniosek szefa Biura Personalnego (pozycja 182).

3. Garnizon „Królewska Huta“ otrzymał nazwę „Chorzów“ (pozycja 184).

4. Zaliczenie działalności niepodległościowej do wysługi emerytalnej. Pod warunkiem: 1) udowodnienia okresów (ściśle dat) odbywania kar, pozbawienia wolności lub administracyjnego zesłania, orzeczonych przez władze państw zaborezych za czynną działalność, zmierzającą do odzyskania niepodległości Państwa Polskiego, oraz okresów przebywania w areszcie zapobiegawczym za taką działalność, i 2) udowodnienia nadania krzyża lub medalu Niepodległości — mogą ubiegać się o zaliczenie okresów działalności niepodległościowej m. i.:

a) zawodowi wojskowi, pozostający w służbie czynnej (stanie czynnym lub nieczynnym);

b) zawodowi wojskowi w stanie spoczynku, jeśli rozwiązano z nimi stosunek służbowy po dniu 31 marca 1932 roku;

c) wdowy i sieroty po osobach, wymienionych pod a) i b).

Orzeczenia w sprawie zaliczenia działalności niepodległościowej będą wydawane przez Ministerstwo Spraw Wojskowych w porozumieniu z Ministerstwem Skarbu, jeśli chodzi o zawodowych wojskowych w służbie czynnej i w stanie spoczynku oraz wdowy i sieroty po nich. Podania o zaliczenie okresów działalności niepodległościowej należy składać w terminie do 31 grudnia 1936 roku w następujący sposób:

a) oficerowie zawodowi (w stanie czynnym, nieczynnym oraz w stanie spoczynku) oraz wdowy i sieroty po nich, otrzymujące pensje wdowie (sieroce) — do Ministerstwa Spraw Wojskowych (Departament Intendencji);

b) podoficerowie zawodowi (w stanie czynnym, nieczynnym oraz w stanie spoczynku) i wdowy oraz sieroty po nich, otrzymujące pensje wdowie (sieroce) — do Ministerstwa Spraw Wojskowych (Departament Intendencji) za pośrednictwem właściwego dowódcy Okręgu Korpusu (szef Intendencji);

c) wdowy i sieroty po oficerach zawodowych, nie mające praw do pensji wdowie (sierocej) — do Ministerstwa Spraw Wojskowych (Departament Intendencji), a po podoficerach zawodowych — do Ministerstwa Spraw Wojskowych (Departament Intendencji) za pośrednictwem dowódcy Okręgu Korpusu (szef Intendencji), na terenie którego podoficer pełnił ostatnio służbę.

Jeśli zaliczenie działalności niepodległościowej nie wpłynęłoby na wymiar zaopatrzenia (przypominamy tu, że okresy, zaliczone do wysługi emerytalnej już na innych podstawach, na przykład jako służba w formacjach polskich, nie mogą być ponownie zaliczane jako praca niepodległościowa) — Dowództwo Okręgu Korpusu zwróci podanie petentowi, wyjaśniając bezcelowość ubiegania się o zaliczenie działalności niepodległościowej (pozycja 201).

(dokończenie nastąpi)

Bogdan Sujkowski

6) GARŚĆ WSPOMNIENIEN PIECHURA

Żołnierski odpoczynek polega zwykle na jedzeniu, spaniu i czyszczeniu broni. Z jedzeniem jest ciągle kiepsko, na spanie czasu jest dość, z miejscem na nie najgorzej. Czyszczenie broni odbywa się całymi godzinami. I nic dziwnego, po takich pięciu dniach doprowadzić broń do wymaganego stanu to sztuka nielada. Karabinarze od ciężkich maszynek, którzy zawsze udają arystokrację piechurską, teraz mieli za swoje!

Po południu mieliśmy urozmaicenie — apel mundurowy. Zdawałoby się, coś prostszego i zwyczajniejszego, a jednak dziś notatka, jaką znajduję przy tym dniu, ma prawie historyczną wartość. Jest to bowiem dokument w jakich warunkach wówczas walczyliśmy.

Pluton liczył tego dnia 29 ludzi. Karabiny, pasy i ładownice mieli wszyscy, ale już z amunicją było gorzej; przeciętnie выпадаło po 17 (siedemnaście!) naboju na karabin, a granatów ręcznych było wogóle—2! Położenie było zaś trudne z tego względu, że w całej grupie tylko nasz bataljon miał karabiny niemieckie, inne były uzbrojone w manlichery i po amunicję trzeba było posyłać aż do Przemyśla. Podobno transport już szedł...

Butów, na tych 29 ludzi, brakowało 16 par. Nie znaczy to, żeby żołnierze byli bosi, ale trudno wymagać, aby podeszwa, przywiązana do przyszywanym drutem telefonicznym, czy jakiś strzęp skóry, z którego wyłażą wszystkie palce, były uważane za obuwie dostateczne dla żołnierza na froncie i to w czasie zimy.

Płaszcze mieli zasadniczo wszyscy, ale 7 było w takim stanie, że nie dawały się już nawet łątać, bo materiał rozłaził się w palcach, 6 było łątanych przeróżnymi wielobarwnymi szmatami, 3 — zabrane zabitymi — nosiły wielkie, ciemne plamy krwi. Ach, te płaszcze! Bataljon nasz otrzymał pierwsze płaszcze wyrobu polskiego. Pewnie, że wówczas, w zrabowanym, zrujnowanym kraju trudno było o dobry materiał, ale szyc płaszcze żołnierskie ze starych koców, z materiału pokrzywo-papierowego, ze szmat jakichś bibulastych, to... nie powiem swego zdania, ale stwierdzam fakt, że płaszcze te nasiąkały wodą, jak gąbki, że od zimna nie chroniły zupełnie, że darły się i rozłaziły wprost bez przyczyny.

Koców brakowało 9; spodni (jakieś łachy były!; trzeba było nagwałt 5 par; owijaczy 7; plecaków 3) chlebaków 11! O takich drobiazgach, jak bielizna — nawet się mówiło. Te wszystkie braki spisałem, pan podchorąży stwierdził raz jeszcze, że jest to minimum tego, o co należy prosić, i lista powędrowała do bataljonu. A że tam żadnych zapasów nie mieli, więc nic nie dali, a bractwo wytrzymało jakoś i tak.

Jaworów, szpital polowy. Łóżko, pościel, pielęgniarki; po punkcie opatrunkowym w Siedliskach — raj prawdziwy.

I pomyśleć, że są ludzie, którzy nie umieją sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało życie pozagrobowe, czyli tak zwany raj. Ależ to takie proste: będzie to duża izba, zapchana do ostatnich granic możliwości żelaznymi łózkami, na tych łózkach sienniki i gruba, dość czysta pościel. Aniołowie zaś

są to napewno pielęgniarki, które na każde życzenie podają wodę czy nawet herbatę. Wiem również, że archaniołami są lekarze, którzy robią prawdziwe opatrunki, nawet niebardzo brutalnie odrywając opatrunek polowy, przyschnięty do rany od 30 godzin.

Co do mnie, to wyciągając się rozkosznie na prawdziwym łóżku i popijając dobrą herbatą niezły obiad, miałem pogląd na raj ustalony.

Były małe skazy w tym cudownym obrazku. Na łóżku tuż obok mnie leżał żołnierz, któremu granat zerwał górną część czaszki. Ten rzucał się ustawicznie, jęczał, majaczył, rzeził. Ucichł dopiero nad samem ranem, dość nagle. Sanitarjusz, czuwający nad nim, przyjrzał mu się uważnie, potem obojętnym ruchem naciągnął mu na twarz prześcieradło, ziewnął szeroko i mruknął dość głośno: „Ano, idę spać“.

Była to cała mowa pogrzebowa, całe wspomnienie pośmiertne nieznanego żołnierza. Całe? Nie, przyznam się szczerze, że my, sąsiedzi, jeszcze w dzień, kiedy tamtego już wyniesiono, wspominaliśmy go w formie mniej więcej takiej:

— Psia kość, całą noc spać nie dał.

Był przy szpitalu również zakład dezynfekcyjny, ale wynik zabiegów był tylko ten, że mundur się kurczył, czasem nawet dobrze przypalił, a „stworzonek“ było tyle samo, co przedtem. Ze zmianą pościeli też bywało gorzej, ale to wszystko drobiazgi, które — zwłaszcza w porównaniu z punktem opatrunkowym w Siedliskach — wydawały się bez znaczenia.

Do tych godnych opisanie i pamięci Siedlisk doszedłem poprzedniego dnia wieczorem. Doszedłem, tak jest, piechotą, mimo, że byłem ranny, straciłem dużo krwi, a odległość od bataljonu do tej wsi wynosiła przeszło dziesięć kilometrów. Ale cóż było robić, gdy w całej wsi znalazła się jedna podwoda, a rannych i chorych było jedenastu? Więc na podwodę włączono ciężko rannego piechura i artylerzystę, pokreconego ostrym atakiem reumatyzmu, a my, reszta, którzy mogliśmy się utrzymać na nogach, poszliśmy, a raczej powlekliśmy się piechotą. Że pomysł był dobry, świadczy rezultat — jakoś się doszło.

Zostałem ranny koło ósmej — przestrzał ramienia przez kość z silnym krwotokiem. Kolega harcerz założył mi prowizoryczny opatrunek i tak zostałem odprowadzony do sanitarjatu bataljonowego. Tam lekarza nie było, nie pamiętam już dlaczego, dość że nie było. Sanitarjusz uznał, że opatrunek się trzyma i nawet mało przecieka, że więc lepiej go nie zmieniać i odstawić mnie do punktu opatrunkowego grupy do Siedlisk. Jak się ten „transport“ odbywał — już mówiłem. Nim jednak znaleziono tę jedyną podwodę, nim nas załadowano, nim dowiekliśmy się do Siedlisk był już wieczór. Punkt opatrunkowy, oznaczony brudną, niegdyś białą z czerwonym krzyżem szmatą, mieścił się w starej chałupce obok młyna. Były tam dwie izdebki — jedna stanowiła „salę operacyjną“ i zarazem mieszkanie doktora, druga przeznaczona była dla rannych. Personel pomocniczy stanowił jeden jedyny sanitariusz. Gdy nasz transport przybył, izdebka była już prawie pełna i z największym trudem udało się

znaleźć dla każdego trochę miejsca na słomie. Przepraszam, cofam to słowo, to coś, na czym leżeliśmy, było słomą kiedyś, dawno. Wówczas zmieniło swój stan całkowicie. Była to brudna, zgnieciona, czarna ściółka, pełna jakichś odpadków, kawałków jedzenia, opatrunków—niezmieniana od Bóg wie ilu dni. I ruszała się, dosłownie ruszała się! Takiej ilości robactwa trudno sobie nawet wyobrazić. Na tej „słomie“ leżeliśmy stłoczeni, pomieszani, jak wypadło: ranny, konający, chory na malarję, dezenterję, tyfus — co kto chciał. No i czekaliśmy na lekarza, którego wezwano do ciężko rannego oficera w sąsiedniej wsi. Od zniszczonej, mokrej podłogi ciągnęło zimnem i wilgocią, śmiertelnie zmęczony sanitariusz ledwie mógł podawać wodę, zaduch zatykał płuca, jęk brzmiał nieustannie. Dwum ciężej ran-nym odechciało się wreszcie czekać i bez dokumen-tu podróży udali się w lepsze kraje — pozostali między nami aż do rana—a my, reszta, czekaliśmy i doczekaliśmy się. Doktor przyjechał o świcie, tak zmęczony, że ledwie porobił opatrunki ciężej ran-nym, rano przyjechało auto ciężarowe i zabrało nas do szpitala, ale co do mnie naprzykład, to prowizoryczny, połowy opatrunek nosiłem niezmiennie przez 30 godzin, aż dopiero w Jaworowie zdjęto mi go i opatrzone przyzwolicie. I mówić tu, że ten szpi-tal nie był rajem.

Bogdanów. Obozujemy obok toru. Podobno mamy przed sobą ciężki marsz.

Właściwie ta notatka zawiera już całkowitą treść i mało co już jest do dodania. Nasze oba transpor-ty zatrzymały się przed samym wieczorem na tej małej, zapadłej wśród lasów, stacyjce. Rampa to-warowa była zniszczona całkowicie i kompanja służ-bowa ciężko pracowała, wyładowując wozy, kuchnie i cały tabor pułku. Tymczasem my, reszta, rozłoży-liśmy się biwakiem. Noc była ciepła, cicha, gwiaź-dzista. Od stacji dochodził stłumiony gwar i szum pracujących, na obszernym jednak placu, gdzie się rozłożyły kompanje, było prawie cicho. Nie byliśmy zmęczeni. Podróż przy ładnej pogodzie i przy do-statecznej ilości miejsca w wagonach była doskona-łym wypoczynkiem, ale myśl o czekającej nas pracy, o jutrzejszym już dniu, gasiła humory. Byli między nami starzy żołnierze-ochotnicy, którzy już przeszli całą kampanję ukraińską, byli rekruci, nie-dawno wcieleni do szeregów i pośpiesznie, ledwie, ledwie podćwiczeni. I jedni i drudzy, choć w różny sposób, myśleli o jutrze. Cisza pogodnego wieczoru, daleki poszum lasu, którego czarna ściana otaczała kręgiem polanę, na której obozowaliśmy, trzask płomieni setek ognisk rozmarzyły ludzi. Mało kto spał, mało kto rozmawiał. Ogromna większość ota-czała grupami ogniska i trwała cicho, w zadumie. Zdala, od strony stacji, ten biwak — czarne pole, usiane złotemi, migającymi punktami — wyglądał tajemniczo i uroczo. Naokoło nas była czarna noc i cisza. Lekki wietrzyk nie przynosił najmniejszych szmerów. Wiedzieliśmy tylko, że gdzieś na wschód od tego miejsca nasza ofensywa posuwa się gwał-townie i mamy bardzo się śpieszyć, aby wesprzeć zmę-czone oddziały, ale jak to daleko, jakie jest położe-nie, co nas czeka — nikt nie wiedział. Tylko nasz porucznik, gdy wrócił z odprawy, długo coś badał mapę, a potem—uśmiechając się—powiedział do mnie:

— No, mamy ładny marsz przed sobą!

Niezbýt to miła perspektywa, ale ostatecznie dla piechura to rzecz zwykła.

Tymczasem na zapas, póki jeszcze czas, odpoczy-waliśmy. Odpoczywanie na zapas to sztuka, którą musi posiadać każdy piechur, jeśli dba o swe nogi. Odpoczywać po marszu potrafi mniej więcej każdy żółtodziób, ale uchwycić i wykorzystać każdą chwi-lę przed marszem, stawać do pracy z całkowitym, możliwie największym zapasem sił—tego trzeba się uczyć.

Na stacji już zapadła cisza, odjechał—sypiąc sno-py złotych iskier—pociąg-kantyna, który zastaliśmy już tutaj i opróżnili dokumentnie, przygasały nie-podsycane ogniska. Coraz więcej żołnierzy, poowi-janych w płaszcze, spało wokoło. Już nawet pesy-miści poczynali sądzić, że noc minie spokojnie, gdy koło jedenastej w nocy, gdzieś w ciemności, w stro-nie niewidzialnej stacji, zagrała trąbka.

Bóg wie co to był za sygnał. Trębacz napewno improwizował, ale dla każdego z nas oznaczał on tylko jedno: „Nie prześpisz spokojnie nocy; do ro-boty“!

Wołożyn. Biwakujemy na pastwisku za miastem. Marsz był podle ciężki, a na zakończenie odwali-liśmy defiladę przed jakimś sztabem.

Początek był bardzo romantyczny. Czarna noc, dogasające ogniska i trąbka, podająca jakiś sygnał.

Od ognisk oderwały się ciemne grupy postaci, zamrowiło się coś z pośpiechem, cienie odpłynęły w mrok i zwały się w długi, ledwie dojrzany mur. Zabrzmiały komendy, mur chrzęstnął, zakołysał się, rozłamał na części i wnet, zamieniony w ogromnego węża, jął wsiąkać w ciemność. Za nami taboryci gasili pozostawione ogniska.

Marsz nocny, zwłaszcza w cudną, letnią noc, za-liczyłby można niemal do przyjemności, gdyby mieć nadzieję, że się w dzień można będzie przespać, no i gdyby nie plecak i wogóle cały rynsztunek.

Rynsztunek, taki frontowy, pełny, z amunicją i granatami ręcznymi, to wróg, to zmora, to narzę-dzie tortur. Od pierwszej zaraz godziny marszu, od pierwszej niemal chwili zaczyna się walka między piechurem a tym jego katem, walka, która nieod-miennie trwa aż do miejsca postoju. Obie strony są chytre i mają w tej walce dużą wprawę. Żoł-nierz przemyślnie podkłada ręce pod plecak—ryn-sztunek mu pasem od chlebaka piłuje boleśnie le-we ramię. Znajdzie się jakaś rada na chlebak — szelki od ładownic i pas od karabina, uchwyciwszy wspólnie za kark, ciągną go wdół, aż drętwieje. Chce żołnierz podtrzymać ręką karabin — plecak wchodzi w swe prawa i ramiona wyłamuje do tyłu.

Kto nie doświadczył tych przyjemności, ten mnie nie odczuje, lecz proszę wierzyć, że po pierwszym takim marszu wyniesione z cywila pojęcie o ro-mantyczności wojny ginie bezpowrotnie. Gdzież tu jest romantyzm? Ciągłe fizyczne zmęczenie do gra-nic ludzkiej wytrzymałości, ciągła walka z nieprzy-jacielem, ale tym małym, z za kołnierza, ciągłe na coś czekanie, głód, chłód czy upał — ech, dajmy spokój romantyzmowi. Nas porwała i podtrzymywa-ła świadomość świętości celów, o jakie toczy się wojna, ale nieraz zastanawiałem się w jak szalonej tresurze wychowane być musiały społeczeństwa na-przykład Rosji, Niemiec czy Austrii, że dały się wciągnąć do wojny, że ich żołnierze wytrzymali ty-le lat, walcząc o cele, które przecież dla większo-ści musiały być całkowicie niezrozumiałe i żadnego entuzjazmu wywołać nie mogły.

c. d. n.